Nr. 9. Lwów, 1. Maja 1887. **Rocznik VIII.**

STRAŻNICA POLSKA

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.
Numer pojedyńczy kosztuje 20 ct. i jest do nabycia w Administracyi i w księgarni Polskiej.

REDAKCYA i EKSPEDYCYA: ul. Sykstuska, L. 37. wchód od Ossolińskich
ADMINISTRACYA: Zarząd drukarni we Lwowie, Rynek L. 9.
Nra. pojedyncze sprzedawane będą w księgarni Polskiej plac Halicki.

PRZEDPŁATA
„Strażnica polska“ kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
z przysyłką do domu . 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Od Administracyi.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie bez przesyłki, zł. 1.50
„ z przesyłką do domu . . „ 1·70
na prowincyi . . . . „ 1·75
za granicą . . . . . „ 2·00
Pojedyńczy Nr. kosztuje „ —·20
Podwójny „ „ „ —·30
Rocznie na prowincyi „ „ 7·00
„ za granicą „ „ 8·00

Prenumeratę miejscową i zamiejscową prosimy przysyłać wyłącznie na ręce p. *Szczęsnego Bednarskiego*, Zarządcy drukarni p. A. Wajdowicz, we Lwowie, Rynek L. 9.

W Krakowie przyjmuje prenumeratę księgarnia J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna, jakoteż sprzedaż pojedyńczych numerów.

Echa i wrażenia pogrzebowe.

Nie podajemy naszym czytelnikom szczegółowego, po kronikarsku spisanego pogrzebu ś. p. Kraszewskiego, gdyż byłoby to tylko powtarzaniem, co już podały wszystkie inne dzienniki.

My zaś mamy inny sposób badania takich donośnych faktów, a szczególniej tych, które już mają prawie dziejową doniosłość. Za taki moment uważamy skon ś. p. I. J. Kraszewskiego, pogrzeb, w którym brał udział cały naród polski, bo jeżeli nie osobiście to przez swych wysłanników, a duchem był tego dnia obecnym w pod wawelskim grodzie. I nie mogło być inaczej, jeżeli Kraszewski był rzeczywistym apostołem niepokalanej niczem idei narodowej. Jego praca całego żywota, była tak wielkiej tytanicznej siły, i takie oddała usługi narodowi, że nam każdy inny naród pozazdrościć może.

Pomimo jednak tej powszechnej żałoby, rozłzawienia serc wdzięcznych, nie da się ukryć ta straszna plaga, a źródło bodaj czy nie wszystkich nieszczęść naszych i niedoli, której prądy, jak widoma nić czerwona, wysnuta z piekielnej otchłani przez Targowicę, snują się po żyłach narodu. Nić ta jak dżuma, która nurtuje w zdrowym organizmie ciała i zabija go, snuje się dotąd, a w obecnej chwili truje swym jadem, którego żadna siła moralna powstrzymać nie może.

Dziś już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że potomkowie Targowicy są wierni sojuszowi zawartemu przez ich ojców z szatanem, a raz poszedłszy w jego służbę, pełnią takową dalej ze smutną odwagą i wytrwałością.

Przypatrzmy się tej kohorcie od piewszego rozbioru Polski, a nabędziemy przekonania, że ona nigdy nie szła z narodem, a połowa przynajmiej męk i nieszczęść, jakie tenże znosił i znosi — to dzieło tej Targowicy. Nie będziemy się nad tem dłużej rozwodzić, ale schodzimy do najnowszych czasów, do obecnej chwili.

Przyznać każdy musi, że naród polski ma ten szlachetny wrodzony popęd, że chociaż wiele złego doznał od kogoś i niejedną mękę przebył, to jednak gdy widzi, że w tym, co był mu przedtem chociażby najzaciętszym wrogiem, zrodziła się chociaż iskierka sprawiedliwości, uznania, jeżeli mu przyznawane są chociaż cząstki praw narodowych, a nawet tylko ludzkich, zapomina o tem co było, umie być wdzięcznym, posuwając się nawet do ofiarności mienia i życia. Inaczej natomiast postępuje ten odłam naszego społeczeństwa, który się opancerzył jak żółw w skorupie, któremu obce wszelkie prawdziwe szlachetniejsze uczucia, u którego strona moralna stała się tylko frazesem, a fałsz, obłuda, sobkostwo i przeniewierstwo, są jego jedynym żywiołem. Jeżeli kohorta ta z pod czarnej chorągwi mówi: „że stoi przy kimś i stać chce“, tego frazesu nie należy brać za dobrą monetę, za szlachetny kruszec, lecz za fałsz i za proste oszustwo. A nie ma już dziś takich ślepych, którzyby się na tych niecnych komedyach nie poznali. Tu też należy szukać przyczyny, dlaczego dotąd pomimo wielkich wysileń i dowodów żywych naszej wdzięczności i wierności, nie osiągnęliśmy takiego zaufania, na jakie zasługujemy. A trwać to będzie tak długo, dopokąd nieudowodnimy, że kraj, naród, z tą falangą bez czci i wiary nie ma i nie może mieć nic wspólnego. Dola nasza nie polepszy się, dopóki nie odbierzemy potomkom Targowicy mandatów, wydzieranych krajowi podstępem i za judaszowe srebrniki. O jakimkolwiek patryotyzmie nie może być u nich mowy; są to najwstrętniejsi handlarze, którzy ojczyznę, własne rodziny, dzieci gotowi postawić na bęben i sprzedać temu kto da więcej.

Aby jednak znowu nas nie posądał ktoś o czcze frazesy, stawiamy przykład z naświeższej przeszłości i co tylko minionej chwili.

Kim i czem był ś. p. Kraszewski dla narodu polskiego, zbytecznem o tem mówić. Dosyć, że go wielbił i czcił cały naród. Uprzytomnijmy sobie jubileusz Kraszewskiego w Krakowie, gdzie też cały naród się zebrał, aby uczcić wielkiego pracownika i miłośnika ojczyny. Uznanie było tak wielkie, że nawet Monarcha nasz namiłościwszy, Cesarz Franciszek Józef, w szlachetności swej i jakby na porękę sojuszu z nami, ozdobił zaszczytnie pierś starego weterana. A jak Polacy odczuli ten czyn łaski Monarszej, dowiodła wdzięczność nie kłamana, gdy następnie zwiedził Galicyę; a przecież nie występowaliśmy jako zamalgamowani z Austryą, ale z wszelkiemi znamionami odrębności narodowej. Nie raziły też Monarchy nasze Orły białopióre, nasze Pogonie i Archanioły, nasza mowa polska, nasze hymny i nuta: „Jeszcze nie zginęła“. To też nie dziw, że dotąd nawet najczerwieńsi, najwięcej duchem rewulucyjnym ożywieni, musieli odczuć tę Monarszą łaskę i życzliwość do tego stopnia, że postanowili czynem dowieść swej wdzięczności i wierności, w dobrej i złej doli.

Jeżeli zaś dotąd oczerniano żywioł demokratyczny, wskazywano nań jako na niebezpieczny, to tuszymy, że dziś przynajmniej, nie jest już oto

Wspomnienia powstańca
z lat 1861, 1862 i 1863.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz po tej manifestacyi podwójnej, zabłysnął nad Warszawą pamiętny dzień 8. Kwietnia. Nie byłem obecny w Warszawie, więc nie mogę opisywać owego krwawego dramatu. W nocy z 8. na 9. dobiegła wieść o krwawych wypadkach warszawskich do Piotrkowa, a do rana jeszcze po całem mieście się rozeszła, z dodatkiem wieści o bombardowaniu Warszawy. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie musiała wywrzeć ta wiadomość nagła i niespodziewana. A choć fakta już same przez się są natury takiej, że zdolne by były krew w żyłach zamrozić, w opowiadaniu wzrosły jeszcze do potęgi drugiej; a przecież we wrażeniu niespodzianem nie było wcale ni trwogi, ni przerażenia jak zwykle bywa, a tylko zgroza i oburzenie nie do opisania, z poczuciem gotowości na wszystko, do najostateczniejszych i najszaleńszych ofiar. Chciała Moskwa przerazić, a sprawiła wprost przeciwny skutek. Ustały wszystkie zajęcia i prace domowe i publiczne, uderzono w dzwony, gromadzono się tłumnie po kościołach na krótką modlitwę, a głównie na naradzanie się cichym szeptem, co dalej czynić wypada?

Na wiadomość, że przez Piotrków przejeżdżać mają konsulowie francuski i angielski, jako opuszczający w imię zgwałconych praw ludzkich i boskich swe stanowiska, cała prawie ludność udała się na dworzec kolei żelaznej, z zamiarem uczynienia ich powiernikami swego oburzenia i zgrozy, a zarazem prosić, by jako pośrednicy międzynarodowi i naoczni świadkowie opowiedzieli swym rządom i narodom co widzieli i słyszeli, i na jakie męki skazana jest Polska za to, że choć w kajdanach wroga, chce służyć sprawie postępu i wolności. — Młodzież zaś w liczbie kilkudziesięciu, uniesiona szlachetnym zapałem, zajęła pociąg udający się do Warszawy, w celu niesienia pomocy braciom Warszawianom.

Nie mam wcale czasu i miejsca się rozczulać, ale mogę rzec śmiało, że kto był w chwili odjazdu tej zacnej i dziarskiej młodzieży, ten z pewnością do końca życia owej chwili nie zapomni. Na dowód zaś, jaka to była młodzież, powiedzieć mogę, że prawie wszystka wyginęła w powstaniu, lub przepada na wygnaniu we wszystkich częściach świata. Niewiasty, starcy, dzieci, wszystkich stanów i wyznań, w chwili ruszenia pociągu, padłszy na kolana, z mimowolnemi łzami, słali jej błogosławieństwa. Na każdej stacyi pośredniej na drodze do Warszawy toż samo się powtarzało.

Mówię tylko o Piotrkowie, lecz przecie nie jeden Piotrków koło Warszawy i jakem się bardzo prędko dowiedział i przekonał, toż samo co w Piotrkowie, powtarzało się w szerokim i długim promieniu Warszawy, w większej części miast i wsi, to jest tam, gdziekolwiek owa wieść krwawa z 8. kwietnia doszła, a powtórzyło się wszędzie jednako pod względem myśli i ducha.

A przecież o organizacyi ogólnej narodowej, ogarniającej swemi wpływami wszystko i wszystkich, nie było jeszcze żadnej mowy. Wszystko to świadczy o żywotności idei wolności braterstwa i równouprawnienia bez różnicy, poczętej w młodych piersiach młodzi polskiej, ochrzczonej krwią pięciu ofiar, a bierzmowanej uroczystym obywatelskim prawdziwie pogrzebem tychże.

Służba carska moskiewska powziąwszy słuchy, że naród cały bieży na pomoc Warszawie, kazała obsadzić żołdactwem i kozactwem rogatki warszawskie i bliższe stacye, z nakazem aresztowania każdego, kto paszportu urzędowego nie pokaże. Ponieważ rzadko chyba komu chciało się w podobnym czasie pomyśleć o paszporcie, a nie chcąc się narażać na daremne zajścia z policyą i żołdactwem, opłacanem w najlepszym razie złotówkami polskiemi, młodzież i starsi za nimi wyskakiwali z wagonów będących w biegu i ubocznymi przesmykami dostawali się do Warszawy. Młódź warszawska, przybyszów, ze łzą gorżką w oku i z niemym wymownym uściskiem, gdzie słów nie potrzeba, przyjęła.

Warszawa, kochana Warszawka, jak ją zwą nadwiślanie, zwykle gwarna, wesoła, ożywiona, dla tych szczególniej, co zaczerpnęli oddechem jej życia w dniach przed ósmym kwietnia, przedstawiała widok nie do opisania. Zwykle najludniejsze ulice, teraz puste jakby wymiótł, jakby zaraza przeszła.

posądzany. Oszczerstwa zaś te były siane przez nikogo innego, jak tylko przez tych, którzy się przedstawiali jako stróże pokoju, wierności i bezpieczeństwa kraju. A przecież to wierutny fałsz, bo jeżeli co, to postępowanie i prowokowanie tej kohorty fałszu, mogło tlejące iskry w piersiach rozżarzyć i doprowadzić do nieszczęsnych wybuchów, które jeżeli komu, to tej kohorcie byłyby na rękę, aby zapanować po staremu i ze społeczeństwa demokratycznego zrobić niewolników. Zobaczymy, gdzie się ta prawda pokaże w najbliższej przyszłości.

Dzięki Bogu karność jest dziś w żywiołach naszych tak już silna, że szatańskie podmuchy nietkną nas, i nie myślimy przefrymarczyć ostatniej pieleszy ducha i praw narodowych.

Ale wróćmy do jubileuszu Kraszewskiego: Otóż gdy cały naród oddawał hołd znakomitemu mężowi, — spadkobiercy Targowicy, gdy im się nie udało spotwarzyć tę chwilę, uznając ją za niebezpieczną dla Monarchii, gdy najwyższe sfery nie mogły się w żaden sposób dopatrzeć w jubileuszu buntowniczych czynów, spadkobiercy Targowicy wierni tradycyi służalstwa u stóp tronu caratu północy, postanowili jak najdobitniej zaznaczyć swoją odrębność rodową a wierność Moskwie. Już wtenczas miała ta falanga tę smutną odwagę, protestować przeciw uznaniu całego narodu, i odmawiać Kraszewskiemu tego, na co pięćdziesiątletnią pracą swą zasłużył. Dlaczego?

Oto powtarzamy jeszcze raz, aby zjednać sobie względy w Petersburgu, i zemścić się na apostole narodu za to, że nawoływał grzeszników do poprawy, do pokuty, a gdy to nie pomogło, wskazywał ich narodowi. Na takiego człowieka należało więc rzucić Anathema.

Naród dał i po skonie temu wielkiemu patryocie świadectwo, że żył i umarł, jak Bóg naszych Ojców przykazał, że wytrwał do końca niepokalany. Natomiast Targowica usiłowała niejednokrotnie oplwać, oplugawić jego pamięć. Rzucała nań oszczerstwa, jakoby nie był wiernym synem Kościoła, lecz jakimś strasznym heretykiem, farmazonem. Ale masy narodu nie dały się obałamucić, nie uwierzyły. W sercach tych mas nie zagnieździły się skrupuły racze. Dlaczego? Bo Kraszewski całym żywotem dowiódł w tysiącu tomach dzieł swoich, że jakim był Polakiem, takim i synem Kościoła. Jego dzieła były nieraz i są podwalinami granitowemi, na których patryotyzm polski i wiara ojców, stojące ramię w ramię obok siebie wiernie, chronione były od zburzenia, ruiny. Więcej on bronił tego naszego Kościoła, aniżeli wielu bardzo, co odebrali święcenia, a nawet infuły — na sługi Chrystusowe.

Nikt się też nie dopatrzy w żywocie ś. p. Kraszewskiego, aby się dopuścił zgorszenia, osłabienia, lub nieposzanowania wiary i Kościoła.

A jednak nie pomogła ta modlitwa całego żywota, jeżeli nawet po śmierci falanga mu nie przebaczyła. Hołd oddawany jego zasługom i cześć pogrobową usiłowano zepchnąć do poziomu zwykłego zdarzenia, pozamykać usta na kłódki, pastwić się moralnie chociaż nad trupem.

Cóż to za idyotyczna pycha i zarozumienie! Falandze tej zdawało się, że jeżeli ona się usunie, jeżeli nie będą dzwonić błazeńskie czapki po ulicach Krakowa, jeżeli oni nie zaświecą zbutwiałem próchnem, to hołd narodu nie będzie miał znaczenia. I cóż robią? Oto w dzień pogrzebu zakopują się jak lisy w norach, zamykają drzwi swych domów i pałaców, zasłaniają okna szczelnie, aby nawet atom demokratyczny z ulicy nie odbił się echem o ich uszy, a oko nie było zgorszone. Gdy cały Kraków powiewał chorągwiami żałoby, oni jedni nie wywiesili ani jednej czarnej szmatki. I cóż na to naród — ulica?

Oto chociaż tym razem są im wdzięczne, że przynajmniej odor tej dżumy, którą usiłują zakazić naród, nie owiał tej wielkiej mogiły wieńców, jaką Polska i pobratymcy jej ducha z bliska i z daleka, złożyli Kraszewskiemu.

Ich usunięcie się z karnych wiarą i patryotyzmem szeregów, przekonało nas wreszcie, że w nich krom nazwisk — nic już nie ma z narodem wspólnego. Liczyli może na jaki wybryk, któryby ich był okrył chociaż pozorem męczeństwa. Jeżeli tak obliczali, to się pomylili wielce, i mogli się przekonać, że te masy narodu, ta ulica — jest za szlachetna i już tak dalece umie poszanować swą osobistą godność, iż ubliżyłaby samej sobie, gdyby się porwała chociaż do cienia zemsty. Bo i nad kim? Czy nad tymi, żyjącymi wprawdzie trupami, które już Nemesis na wymarcie skazała? Gdy się się codziennie wyzywają z mienia przez ojców nagromadzonego, gdy jak niepoprawni szulerzy stawiają na kartę całą przyszłość, cóż im się wobec tego należy prócz pogardy?

Zresztą czemże oni byli zgorszeni? Oto tem, że przedstawicielom wszystkich ziem polskich wolno było w kraju konstytucyjnym, pod opieką najszlachetniejszego z Monarchów, zgromadzić się dla oddania pogrobowej czci swemu wielkiemu obywatelowi. I któż to temu obchodowi stawiał właściwie jakiekolwiek przeszkody? Kto to mógł czynić donosy na niebezpiecznych „warchołów“ ze Lwowa i innych? Kto to niepokoił i zmuszał władze bezpieczeństwa do czuwania i przekonywania się o prawdzie? Czy to policya zabroniła Sybirakom, aby stanęli z wieńcem w ordynku pogrzebowym? Czy im policya powiedziała, że nie tworzą korporacyi odrębnej, a więc nie mogą być przypuszczonymi? A czy to nie wyglądało na prowokacyę, na chęć wywołania burdy, któraby cały ten obchód okryła hańbą, jeżeli już podczas pochodu głoszono, że władze austryackie 500 osób, wyrażnie *pięćset*, zatrzymały na granicy, a żandarmi *pielgrzymów na pogrzeb Kraszewskiego wywlekali z wagonów* i odstawiali do granicy?

Przyznajemy, że z powodu tej wieści było wielkie oburzenie, a panowie stańczycy po za okiennicami ukryci, zacierali już sobie zapewne ręce z radości. Niestety i ta nikczemna sztuczka się nie udała, bo wystarczyło kilka haseł, danych przez poczciwych obywateli „z ulicy“, aby się na tem kłamstwie błazeńskiem poznano — i powaga mas ani na chwilę nie została zamieszaną.

Z całego tego dnia wyniosły tylko masy jeden żal, jedną boleść, a tę sprawiło przemówienie od ołtarza w kościele N. Panny Maryi księdza Biskupa krakowskiego. Przemówienie to sprawiło przygnębiające wrażenie, ale nie na ujmę czci cieniom Kraszewskiego, ale na objaw tego rozłamu, jaki się zarysowuje pomiędzy Kościołem a ideą narodową.

Nie trwoży nas to jednak, bo trudno uwierzyć, aby całe nasze zacne duchowieństwo zechciało zejść na tę drogę i usiłowało oderwać Kościół od narodu, odepchnąć gwałtem wiernych mu synów i córy. Że tej obawy nie ma, złożyło znowu Duchowieństwo Krakowskie dowód, gdy z powagą wysłuchało na Skałce głosów rzekomych warchołów i nie zgorszyło się tem, co oni mówili.

Cześć i poszanowanie takiemu Duchowieństwu!

Warcholstwo polskie, ulica, nie sprzeniewierzy się wierze ojców — ale niech je też nikt nie prowadzi na manowce, niech uszanuje to, co czci cały naród; inaczej działając, podkopywać się będzie fundamenta Kościoła katolickiego

Faktem jest, że i delegacye włościańskie, a nawet te świetne grupy Krakusów w białych sukmanach, usiłowano odwieść od uczczenia i złożenia wieńców na trumnie Kraszewskiego, ale i to się nie udało, bo chociaż Krakowiak korny jest przed Bogiem, Kościołem i sługami tegoż, ma już na tyle poczytalności, iż wie, co zbawieniu duszy jego szkodzić może.

Największą obawę u Brandmeistrów krakowskich budzili „warchoły“ lwowscy, czyli delegacya z Rady miasta stolicy kraju. Mianowicie gdy tak wyraźnie przemówili do prezydenta p. Szlachtowskiego, w jego prezydyalnem biórze, gdy się uczuli spowodowanymi przypomnieć staropolskie prawa gościnności, jakie się wysłannikom stolicy kraju należą i do traktowania ich jako takich.

I te obawy były próżne, bo tak zwane „kołtuństwo lwowskie“ zanadto dobrze jest wychowane, nie brak mu poczucia własnej godności, a że czasami w pewnych okolicznościach mówi wyraźnie, no — to rzecz zupełnie inna.

Poznał ich Kraków bliżej teraz, poznali Warszawianie, to też serdecznie ściskano im na pożegnanie te ich twarde dłonie od hebla, młota, kielni, dratwy, lub pokłute igłą. A czy to ich wina, że tak jaśnieli powagą przy tym jakby monaszym pogrzebie wielkiego obywatela?

Że się kohorcie Targowickiej łamały na każdym kroku szyki, to niech się tem zanadto nie martwi, to nie jej wina, ale ducha czasu. W każdym razie zadokumentowała ona swój pietyzm do caratu północy aż nadto wyraźnie, co jej znowu nie przeszkodzi, aby lecieć nad Dunaj i tam *kłamać* o swej wierności i chęci *stania.* Bądźmy jednak pewni, że za pierwszym gromem, gdyby takowy spadł z jasnego nieba, całe to stado kruków wyniesie się szybko i pochowa po bezpiecznych kryjówkach, aby z nich wyjść i połączyć się z tym, kto im da więcej żeru.

Takie usposobienie chociaż tylko pewnej warstewki naszego społeczeństwa, przynosi nie tylko krajowi, Galicyi, ale całemu narodowi polskiemu największą szkodę, bo jeżeli ktoś nie zna

---

Bardzo nieliczni przechodnie przemykali się chyłkiem ze spuszczonemi oczami, nie oglądając się, ni za siebie, ni w bok, widocznie gwałtowną potrzebą wygnani z domu i gwałtowną potrzebą gnani napowrót do domu, do rodzin. Żołdactwo biwakujące na główniejszych placach, jakoto przed Zygmuntem, na Saskim, przed ogrodem Krasińskich, wyjące po pijanemu sprosne pieśni, a między nimi armaty z zapalonymi lontami, wymierzone w główniejsze ulice, oto zewnętrzny widok Warszawy! Dodajmy jeszcze do tego krwawe plamy na chodnikach i murach ulic przyległych placowi Zygmunta, których zmyć i zatrzeć nie było jeszcze czasu w zwykłym każdej zbrodni popłochu, i liczne ślady kul nie już w oknach pierwszego lub drugiego piętra, lecz na wysokość piersi lub głowy człowieka, a będziemy mieli obrazek prawdziwie godny jakiegoś piekła dantejskiego.

W nocy z dnia 9. na 10. zaaresztowano w domach mnóstwo osób i wywieziono natychmiast do Modlina (między innymi Karola Nowakowskiego, ucznia szkoły sztuk pięknych, Mikołaja Epsteina, syna bankiera i Jana Chądzyńskiego, właściciela domu w Warszawie; Nowakowski i Chądzyński pomimo uwalniających ich wyroków sądów kryminalnego i apelacyjnego, na skutek apelacyi prokuratorów, przez rok czasu w Kazamatach Modlina byli trzymani, dopiero wyrokiem rządzącego senatu Chądzyńskiego na wolność wypuszczono, zaś Nowakowskiego, pomimo iż senat uwolnił go także, namiestnik królestwa w drodze administracyjnej do gubernii Jenisejskiej w Syberyi zesłać go polecił) nie mówiąc już o tych, których żołdactwo, kozactwo i żandarmi napadali wieczorem dnia 8. kwietnia i nazajutrz przez cały dzień na ulicach.

Godnem jest uwagi, że Dziennik Warszawski w opisie wypadków 8. kwietnia zresztą bardzo krótkim i nieśmiałym, opowiada o nich jakby o prawdziwej walce ulicznej, w której biorące udział wojsko jedynie cudom waleczności winno swe ocalenie z grożącego niebezpieczeństwa.

Jakkolwiek nie byłem osobiście obecny wypadkom w dniu 8. kwietnia zaszłym, niech mi jednak wolno będzie wynurzyć się z myślą moją, że rząd najazdowy już od dawna knuł zamiar, by jednym krwawym zamachem, manifestacyę dobrych chęci carskich odpowiedzieć na wszystkie manifestacye narodowe, zemścić się za wszystkie upokorzenia doznane po 25 i 27 lutego, w tej nowej dla nich walce z siłami ducha, niedostępnemi kuli i bagnetowi, i raz już skończyć z tą szczególniej im nienawistną żałobą, kolącą ich bezustannie w oczy, jak wyrzut sumienia. W miarę przybywania sił zbrojnych do Warszawy, Moskalom przybywało serca i hardziej podnosili głowę, wreszcie czując się bezpiecznymi i pewnymi siebie, pod zasłoną dwudziestu kilku tysięcy żołdactwa, postanowili doprowadzić do skutku swój więcej jak nikczemny zamysł. Chodziło tylko o to, aby czemkolwiek upozorować zaczepkę ze strony Polaków, bo już tak ni ztąd ni z owąd napadać na bezbronnego za to, że śpiewa i stroi się po swojemu, tego to nawet Moskwa się powstydzi.

Cofnięcie wojska z placu w dniu poprzednim, jeszcze bardziej rozjątrzyło chęć zemsty w Moskalach. Kilka dni z rzędu poddawano żołdactwu wódki, by je godnie usposobić do godnych czynów bohaterskich. Tymczasem kochana Warszawka, ucieszona wczorajszym tryumfem bezbronnym nad Moskwą, bawiła się zapamiętale. Był to prawdziwie świąteczny dzień na manifestacye, których z kilkanaście przynajmniej w dniu tym odbywało się w Warszawie.

Najgłówniejsza i najliczniejsza manifestacya odbywała się na Powązkach z powodu pogrzebu Ksawerego Stobnickiego, sybiraka. Za trumną postępowało więcej niż ze 30 tysięcy ludu. Właśnie gdy naród z Powązek wracał do Warszawy, Moskale z nikczemną chytrością wystawili z zamku na plac przed Zygmuntem dwie kompanie piechoty, kozaków i żandarmów. W parę minut chodniki naokoło placu zamkowego pełne były ludu, zwabionego ciekawością. Moskale zaczęli odgrywać wczorajszą scenę, a tymczasem tłum się zwiększał widocznie co chwila, wreszcie po dwóch godzinach wzajemnego drażnienia się między wojskiem a ludem, Moskale poszczuli lud żandarmami i kozakami. Na tę wiadomość, która piorunem gruchnęła po mieście, cała Warszawa i starzy i młodzi, kobiety i dzieci, wyległa całymi tłumami na ulice, pchając się ku zamkowi; w tej chwili Moskale zaczęli dawać ognia do gęsto skupionego ludu. Reszta wiadoma wszystkim. Zbyt widocznem jest, że Moskale umyślnie z szatańską chytrością urządzili tę całą zasadzkę.

naszych moralnych stosunków, a sądzi tylko podług tej rzekomej śmietanki, to im się dziwić nie można, że podejrzywają nas o brak szczerości i fałsz. A czy to nie jest woda na młyn naszych „najserdeczniejszych“, n. p. centrałów, którym żywioł polski w Monarchii Austro-Węgier jest solą w oku?

Zadaniem stronnictwa demokratycznego w kraju jest: nie dawać Koronie najmniejszego powodu do nieufności, niedowierzania Polakom, jakoby ci praktykowali dwulicową politykę. Do tego postanowienia przyszły nie tylko żywioły demokratyczne w Galicyi, których jedynym organem jest *„Strażnica Polska,“* ale łączy się z nią demokratyczna Korona, Litwa i inne dawne ziemie polskie, tak samo łączy się liczny zastęp braci tułaczy, rozrzuconych po Szwajcaryi, Francyi, Anglii, Włoszech, Bułgaryi, Turcyi i t. d. Ci wołają ze wszystkich stron do nas: — „Zyskajcie sobie zaufanie swego Monarchy, bo pod Jego opieką ostatnia pielesza naszego ducha narodowego. Tak wołają ci, za strasznych uważani dotąd rewolucyonistów, a nawołują nas szczerze. Pragną połączenia Słowian, ale bez Rossyi, bez Moskwy. Dziś gdy kolos północy stoi zaledwie na glinianych nogach, to idea ta nie jest mrzonką, ale może być urzeczywistnioną. Potrzeba do tego tylko cokolwiek silnej woli. Możemy w tej sprawie zająć ważne stanowisko i odegrać rolę naszego posłannictwa. Walczmy w Sejmie i Radzie państwa mężnie i wytrwale o nasze prawa konstytucyjne i samorządu, ale strzeżmy się, jeszcze raz powtarzamy, chociażby tylko cienia dwulicowości.

Ci, którzy w obecnej chwili mieli odwagę zawołać: — *„możemy czekać“*, nie oddali dobrej usługi sprawie polskiej. To też ani kraj, ani naród nie pójdzie za tem hasłem, gdyż idei polskiej nie oddaje się na bęben i nie woła: *„kto da więcej!“*

Że pogrzeb ś. p. Kraszewskiego stanowi porażkę wielką dla tej nieszczęsnej kliki, to widzi każda zacna i patryotyczna dusza. Kto jeszcze dotąd miał bielmo na oczach, ten dziś przejrzał zupełnie i z pełnej piersi woła: *„precz z handlarzami i zaprzańcami!“*

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Warszawska *Gazeta Polska* z dnia 23. Kwietnia:

O „powagach“ i o innych rzeczach.

Mowa żałobna księdza Władysława Chotkowskiego, którą tu i ówdzie nazywano godną złotoustego Skargi, ukazała się już w druku w feljetonie jednego z dzienników, a wkrótce wyjść ma w osobnej książkowej odbitce. Jako przeznaczona do rozpowszechnienia i do oddziaływania na umysły po za murami kościoła, gdzie była wypowiedzianą, przestaje być prostem kazaniem pogrzebowem, którego krytyka byłaby może na tem miejscu niestósowną, i jest zwyczajnym dokumentem publicystycznym. O tyle zresztą niezwykłym dokumentem, o ile niezwykłemi były warunki, w jakich powstał, i o ile tok i język kaznodziejski wznosi się w nim nad zwykłą pospolitość.

Ten tok, ten język i te warunki, a prócz tego i nad to wszystko myśli i poglądy, w przemówieniu zawarte, nie pozwalają nam pominąć go bez uwagi. Tembardziej nie pozwalają, że dotknęły ważnych zagadnień z dziedziny ducha w taki sposób, na który się niekiedy sami pisać nie możemy, i na który nie chcielibyśmy, aby się pisali inni. „Jeżli człowiek nie może znieść światła, znaczy to chorobę; jeżli lud nie może znieść prawdy, znaczy to niezdrowie powszechne,“ — rzekł ks. Chotkowski. Mówmy więc sobie prawdę, na znak zdrowia i dla umocnienia się w zdrowiu na czasy przyszłe.

Następujące twierdzenia szan. mówcy wyróżniają się z pośród innych:

1) Naród nasz żadnej dziś pomiędzy sobą nie może znaleść trwałej powagi, żadnej słuchać, żadnej nie chce szanować,“ i dla tego „w oczach naszych do zguby dąży,“ choć niegdyś był wielkim i potężnym, i choć obiecywał po sobie wiele.

2) Naród nasz „podeptał powagę Kościoła.“

3) „Z Ossolińskim powiedzieć możemy, że panią i gospodynią jest w Polsce wiara katolicka, a inne obok niej są tylko cierpiane.“

4) W programie przyszłości matki powinny oduczać synów od tego, „żeby chciał jeden stan żyć kosztem drugiego,“ zaś starać się o to, „żeby się uczyli wszystkich uznawać za braci, jak nas wszystkich okrywa jedna siermiężna szata niedoli.“

5) Losy nasze podobne są do losów Anteusza, który w walce z Herkulesem bronił się, dopóki stał twardo na ziemi, a zginął, skoro ją pod nogami utracił i zawisł w powietrzu. Ztąd hasło: „ziemi się trzymajcie!“

Inne uwagi, zwroty, apostrofy, po większej części słuszne i piękne, zawsze ozdobnie wypowiedziane, pomijamy, aby się zatrzymać na punktach, zaznaczonych powyżej.

Więc najprzód, co do powag. Twierdzi mówca, że społeczeństwo żadnej dziś wpośród siebie trwałej powagi znaleść nie może, żadnej słuchać ani szanować nie chce. Gdybyśmy zdanie to chcieli brać dosłownie, musielibyśmy orzec, że jeden z dwóch zarzutów nie powinien być słusznym, gdyż oba się wyłączają. Albo społeczeństwo istotnie powag w łonie swem znaleść nie może, i wtedy ani do słuchania ich ani do szanowania nie byłoby powołanem, albo też istotnie powag nie szanuje i nie słucha, a w takim razie zna je, widzi — znalazło. Jak jest w rzeczywistości? W rzeczywistości zamiast prawdziwych powag mamy surogaty powag; brak im też poszanowania i posłuchu.

Ażeby wytłumaczyć, dla czego tak jest, dla czego wogóle tak być może, zaznaczamy najprzód, że pod powagami rozumiemy ludzi, stojących na czele społeczeństwa jako przywódcy, których charakterowi i mądrości ogół ufa, i za których głosem rad karnie idzie. Gdzie są takie powagi? Galicya jest właśnie gruntem klasycznym, na którymby się one swobodnie krzewić mogły. Czy są tam, czy jest ich wiele? Widzimy poważne stanowiska społeczne i polityczne, i widzimy, że są one przez ludzi pozajmowane. Widzimy dalej, że ludzie ci, na mocy zajmowanych stanowisk, upominają się o posłuszeństwo i o szacunek społeczny. Zgadzamy się z ks. Chotkowskim, że jednego i drugiego nie znajdują. Chcąc jednak z tego powodu wyrzuty czynić, należałoby wprzód zastanowić się, czy winą jest temu tylko niesforność społeczeństwa, nie przywykłego do karności, czy może nieudolność owych ludzi ze stanowiskami, czy wreszcie jedno i drugie razem. Ze słów ks. Chotkowskiego wynika, że całą winę zwala on na społeczeństwo i jego nałogi. Naszem zdaniem, winni są raczej ci, którzy w togach przywódców chodząc, do przywództwa nie dorośli, którzy choć na miejscu powag siedzą, powagi nie mają gdyż brak im albo charakteru, albo mądrości życiowej, albo wreszcie i pierwszego i drugiej jednocześnie.

Jeżeli o Galicyę chodzi, poseł do sejmu lub do rady państwa może mieć względne zaufanie wyborców swojego okręgu; inny poseł może mieć zaufanie i szacunek wyborców dwóch okręgów, lub większej liczby. Ale żeby zyskać powagę, dającą prawo do przywództwa wobec szerokich kół, potrzeba do tego czegoś więcej, niż do uzyskania mandatu poselskiego. Stan cały, lub w ogóle jakaś grupa ludzi, zyskują powagę i tytuł wyższości nad innemi stanami, tylko wyższością zbiorowego swego rozumu i gorliwości w służbie publicznej, tak samo jak człowiek pojedyńczy. Ale trzeba, żeby w obu wypadkach rozum i charakter były rzeczywiście na służbie ogółu. Żeby ogół ten czuł, że praca jest dla niego; żeby w myślach, uczuciach, dążeniach widział łączność między sobą i przodownikami. Rozum, który się z tej łączności wyłamuje, nie jest rozumem politycznym. Charakter, który się przed odpowiedzialnością za ogólno-narodowe i społeczne dążenia i za powodzenie ich cofa, nie jest charakterem, budzącym publiczny szacunek. Praca jednostronna, nietrafne lub niedbałe czy zgoła egoistycznie prowadzona, nie może rościć pretensyi do ogólnego uznania.

A cóż i jak jest u nas, co mianowicie i jak w Galicyi? Jakkolwiek ci, którzy losy kraju w rękach trzymali, mogli byli nie próżnować, jakiekolwiek wreszcie mogli napotykać w pracy przeszkody zewnętrzne, jednak niezależnie od tego wyznać trzeba, że stan kraju ekonomiczny i umysłowy nie jest o tyle dobrym, iżby mógł budzić zaufanie mas do tego kierownictwa i wiarę w przyszłość. Przeciwnie budzi on podejrzenia i uprzedzenia, i rodzi myśl, że praca, która nie przynosi owoców, nie mogła być rozumną i energiczną. Zaś brak rozumu kierowniczego i energii — w kierownikach faktycznych, nie stwarza gruntu dla powagi.

Z drugiej strony, co do ludzi pojedyńczych, gdzie są te wyższe umysły i charaktery, które, pracując dla ogółu, umiałyby się wznieść widokami po nad koterye, i względem których brak powszechnego posłuszeństwa i szacunku byłby występkiem przeciw karności społecznej? Patrzymy, widzimy pracowników pożytecznych; ale nie widzimy ludzi, skrajanych na większą miarę. Nato-

---

Rzecz dziwna! cały ten krwawy dramat zamiast zabić i przygnębić ducha, zamiast nakazać tchórzliwe milczenie słowem i czynem, podniósł owszem i mocnił ducha ogólnego.

W kilka dni Warszawa otarła łzy z oczu, spojrzała dumnie i odważnie, a oporem biernym lub czynnym, w każdym czasie i miejscu i w każdej okoliczności, przeciw wszystkiemu co od wrogów pochodzi, starała się okazać głęboką wzgardę i zarazem niestłumioną niczem nadzieję i wiarę w przyszłość lepszą i w niepodległość Ojczyzny, silniejszą niż kiedy. Gorączka manifestacyi, która w Warszawie musiała ochłonąć z powodu miejscowych okoliczności, by sił ducha nie rozpraszać i nie narażać daremnie młodzieży, przeniosła się na prowincyę.

* * *

Przed 12. Sierpnia doszła do Piotrkowa drukowana odezwa, wzywająca do uświęcenia uroczystym obchodem pamiątki Unii Korony i Litwy, przypadającej w dniu 12. t. m. Celem przygotowania, urządzenia i przygotowania do skutku owego obchodu, pięciu młodych ludzi, mianowicie J. G., Z. Ch., F. G., W. T. i W. zawiązało się w bratnie koło, z celem i postanowieniem, by nie przestając wyłącznie na tem, jeżeli można będzie, pójść dalej i naprzód.

Wiadomość o zamierzonej manifestacyi na dzień 12. Sierpnia, z czem się zresztą nie bardzo ukrywano, doszła do uszu jenerała Wagnera, naczelnika wojennego powiatu Piotrkowskiego; przedsięwziął on natychmiast właściwe ludziom podobnym środki, by nie dopuścić do owej manifestacyi. Z rana 12. Sierpnia wydał od siebie odezwę, którą kazał poprzylepiać na rogach ulic i ogłosić przez policyę przy bębnie, grożąc surową odpowiedzialnością i sądem wojennym wszystkim, ktorzyby się poważyli brać udział w zamierzonej manifestacyi, a prócz tego osobne ogłoszenie, że każdy znajdujący się po godzinie 8. wieczorem bez latarki, będzie aresztowanym.

Środki te przyczyniły się tylko do nadania większego uroku całej uroczystości, mianowicie uroku niebezpieczeństwa. W dniu tym od rana prawie wszędzie w biórach, szkołach, rzemiosłach, praca ustała, jako przy dniu świątecznym sklepy pozamykano. Kobiety na ten jeden dzień zrzuciły żałobę i ustroiły się w suknie, wstążki, jasnych kolorów, owym doborem i układem, gdzie tym razem mniej chodziło o gust, kokieteryę lub modę, jak raczej o myśl, z daleka już bijącą w oczy. Za rana odbyło się uroczyste nabożeństwo, w czasie którego odśpiewano „Boże coś Bolskę“ i „z dymem pożarów.“ Po południu zebrano się w kościele Ks. Dominikanów, powtórnie odśpiewano narodowe hymny i ztamtąd głównymi ulicami przechodząc umyślnie mimo mieszkania jenerała Wagnera, z przygotowanemi zawczasu latarkami, udaliśmy się do ogrodu publicznego blisko dworca kolei żelaznej będącego, dość licznym choć nie skupionym tłumem, gdzie więcej osób z miasta miało przybyć.

Zabawiliśmy się w ogrodzie przechadzką i rozmową do godziny ósmej, z uderzeniem której zapaliwszy latarki papierowe, tłum cały różnobarwny, gwarny, ze światłami w ręku, co rzeczywiście sprawiało niezwykły urok, z ogrodu temiż samemi ulicami ruszył do domu. Jenerał Wagner obsadził już wojskiem przyległe ulice rynkowi, przez które koniecznie wypadało nam przechodzić, mając zamiar za nadejściem tłumu ludu otoczyć go zewsząd, zamknąć wszystkie wyjścia i po wyaresztowaniu pewnej liczby ludzi z większą inteligencyą, energią lub wpływami, resztę przez noc całą zatrzymać pod gołem niebem. Gdyśmy wchodzili na rynek, Wagner z balkonu swego mieszkania wrzeszczał do oficerów rozkazy jakieś, zapewne by wojskiem zamknąć wyjścia z rynku.

Nie zważając na to wcale i nie zwracając na to niby uwagi, tłum cały postępował naprzód, na czele prawie szły trzy siostry, panny *,*, ubrane jedna w białą, druga w błękitną, trzecia w amarantową suknię. Oficerowie, którzy prawie wszyscy mieli znajomości w mieście i gościnnie byli przyjmowani, nie uznali za stósowne okazywać się bohaterami i zuchami względem płci słabej i pozornie wykonując rozkazy jenerała, komendę zmienili w ten sposób, że została się wolna luka, którą przeszły trzy wspomniane siostry, a za niemi i tłum cały, którego przejściu stawiać opór jużby wówczas zapóźno było.

Po rozejściu się do domów, każdy starał się oświecić jak można okna swoich mieszkań, wycho-

miast spostrzegamy, że ci, którzy ujawniają pretensyę do powagi z racyi stanowiska lub urodzenia, dygnitarze krajowi i wybitniejsi członkowie arystokracyi, czynią wszystko, co od nich zależy, żeby osobistej powagi nie nabyć, a przywiązaną do godności lub wysokiego rodu skompromitować. Są oni zawsze obcy zbiorowym wzruszeniom i wystąpieniom mas. Ogół nie widzi ich na swojem czele, nie widzi ich zgoła przy sobie, przeciwnie, znajduje ich często przeciw sobie. Dla inaczej czujących i myślących, dla czczących inne bogi, dla nieuznających zasługi tam, gdzie ją ogół uznaje, dla mierzących sprawy i zjawiska publiczne krótkim łokciem koteryjności lub służalstwa, dla zamkniętych w towarzyskiej wyłączności, dla ludzi słowem obcych sobie, choć swoich. — czy może ogół żywić posłuszeństwo i szacunek, a skoro ich nie żywi, czy może być za to ganiony? Bądźmy sprawiedliwymi.

W takich warunkach ogół ten lepiej czyni, że się wpływowi „powag" nie poddaje, lub że szuka powagi po za obrębem sfery ludzi, którzy mają pretensyonalne przekonanie, że dość im było urodzić się, aby ich świat słuchał i poważał.

Coby znaczyć miało twierdzenie ks. Chotkowskiego, że naród nasz powagę Kościoła podeptał, nie dobrze rozumiemy, a pochlebiamy sobie, że nie jesteśmy w tym względzie wyjątkiem. Nie znamy ani jednego faktu, któryby dowodził, że powaga Kościoła przez ogół na szwank narażoną została. Jeżeli ks. Chotkowski fakta takie zna, szkoda, że o nich przemilczał. Jeżeli nie zna, jeżeli o „podeptaniu" powagi Kościoła wspomniał ot tak sobie, dla okrągłości zdania, lub co prawdopodobniejsza, jeżeli sądzi, że powaga Kościoła mogłaby jednak wogóle być większą, niż jest obecnie, nie będziemy się z nim spierali. Owszem, gotowiśmy przyznać mu słuszność, pod warunkiem, że zgodzi się z nami w pojęciu powodów zjawiska. Wydaje nam się mianowicie, że jeżeli powaga Kościoła czasami cierpi, dzieje się to częściej za sprawą nietaktownego postępowania sług Kościoła, niż za sprawą społeczeństwa. Mamyż cytować? Za daleko by to nas zaprowadziło. Kwestya ta jest zbyt drażliwą.

Tak samo niezupełnie złem, tylko niezupełnie dokładnem było zdanie, zacytowane z Ossolińskiego, o wierze. Ona jest panią i gospodynią, inne obok niej cierpiane. Cierpiane!... Różnie bywa z tem jej państwem i z temi innemi wiarami, które są niby tylko „cierpiane." Nie wdając się w szczegóły, chcielibyśmy tu zastrzedz się przeciw tłumaczeniu powyższego ustępu w duchu nietolerancyi, o którą obawiać się nie mamy potrzeby, gdyż jej nie praktykujemy.

Oto co mieliśmy do powiedzenia pokrótce z powodu trzech pierwszych powyżej naznaczonych punktów. O dwóch dalszych powiemy słów parę w numerze następnym.

J. G.

Apostoł słowiański.

Jest to rzeczą naturalną i jasną, że Polak nie może się nie łączyć i nie kochać innych szczepów słowiańskich. Łączył on się zawsze i łączyć będzie z tą wielką ideą, która nie opiera się na tem, co ludzie zrobili, ale co stworzył Bóg i połączył w prawach natury. Polak jednakowoż, pojmujący zdrowo to zadanie łączności słowiańskiej, nie przyzna się nigdy i nie może przyznać do pokrewieństwa z Rossyanami, recte Moskalami, którzy Słowianami nie byli i nie są. Jako sąsiedzi, możemy Rossyan szanować, jeżeli się chociaż kiedyś staną dla nas uczciwem sąsiedztwem, ale przypuszczenie ich do wielkiej rodziny słowiańskiej nie może nigdy nastąpić. Że tak się już dziś zapatrują i inni Słowianie, a nie za długo przyznają nam słuszność wszyscy, o tem nie wątpimy.

Do inaczej myślących należą jedynie ci, u których idea wolności i samodzielności narodowej zepchniętą jest na nader względne drugie stanowisko, a w pierwszym rzędzie obławianie się imperyałami i rublami jest głównym czynnikiem politycznym.

Szczególną jednak rolę w tej chwili odgrywają bracia Czesi, z którymi nas nie jedna tradycya dziejowa łączy, a nawet wspólność przebytej doli. Chociaż Czechia nie graniczy bezpośrednio z Rossyą, to jednak posiadając najłatwiejsze warunki oświaty, które rzeczywiście zdobyła, i stoi pod tym względem wyżej od innych szczepów słowiańskich, które tych warunków nie miały, miała zarazem sposobność poznania na wskroś Moskali, oraz przekonania się, że tam nie ma tych ideałów, do których Czesi tak gorliwie dążą.

Czesi, pielgrzymując tak często do Petersburga i Moskwy, mogli się przecież przekonać, że ta matiuszka Rassija nie ma nawet fundamentu, który znamionuje szczepy słowiańskie, bo nie ma mowy własnej, a tylko pokradziony najróżnorodniejszy konglomerat, z germańskich i różnych niesłowiańskich i słowiańskich słów. Zaczawszy od nazwy „Petersburg" aż do „Perückmachersza" (perukarka, Perückmacherin) — mamy tylko na pół azyatycki żargon, który w żaden sposób z żadną słowiańską mową porównany być nie może. Pomimoto bracia Czesi tańcują dotąd na linie, i chociaż nam już nieraz wołali „na zdar", „niech żyją Polacy i Polska" — krzyczeli jeszcze głośniej i krzyczą: „Boże carja chrani" i rozczulają się nad Moskalami.

Gdy przed dwoma laty przybył zastęp Sokołów czeskich do Krakowa, zdobył szturmem serca nasze, a sojusz ten oblewaliśmy serdecznemi łzami radości. Nie długo jednak potrzeba było czekać, aby uszów naszych doszła nie jedna przykra nuta, którą echo niosło z nad Wełtawy, budząc zdziwienie słuszne w umyśle polskim. Dlategoteż gdy w roku bieżącym nadeszło zaproszenie Sokołów naszych do Pragi, powstało słuszne zastanawianie się, czy mają jechać, lub nie? Powtórzono gorące słowa i zapewnienie, że tam nic nie zajdzie takiego, co by uczucie polskie raniło, więc postanowiono podążyć nad Wełtawę, aby dłoń polska spoczęła bratnio w słowiańskiej dłoni czeskiej i aby ten święty sojusz został skuty silnymi ogniwami ducha.

Tak się rzecz miała aż do pogrzebu ś. p. J. I. Kraszewskiego w Krakowie, na który podążyli i wysłannicy lwowskich Sokołów. Bracia krakowscy korzystając z tej okazyi, zaprosili ich i inne deputacye do swego ogniska, podejmując serdecznie „czem chata bogata."

Na tem zebraniu wieczornem pojawił się i p. **Howorka**, który zabrawszy następnie głos, mienił się być *wysłannikiem Sokołów czeskich*, zapraszając najgoręcej naszych Sokołów polskich, aby w Czerwcu przybyli do Pragi.

Howorka w przemówieniu swem rozwinął niezwykłą swadę oratorską. Każde zdanie, pełne myśli przekonywającej, tryskało patryotyzmem, uczuciem ducha wolności. Tak samo udowodnił gruntowną znajomość naszych stosunków społeczno-politycznych we wszystkich ziemiach dawnej Polski.

Nie pierwszy raz zwiedzał on Galicyę i bawił w Krakowie, Lwowie i po innych miastach tejże. Tak samo poznał i badał Szląsk, Wielkopolskę, Prusy zachodnie. Cieszyn, Poznań, Gniezno, Toruń, Gdańsk, Królewiec, są mu lepiej znane, aniżeli niejednemu z Polaków. Zbliżał się jako pobratymiec patryota, przyjaciel Polaków, do wszystkich wybitniejszych osobistości, zyskując u tychże zaufanie. Następnie udał się do Korony, Litwy, na Podole, Wołyń, Ukrainę. Przewędrował wszędzie, co trwało kilka lat.

Mowa cała ukwiecona w zręczne, patryotyczne szmermele, porwała nie tylko młodych Sokołów, ale i wszystkich obecnych tam gości. *Howorkę obnoszono po sali.*

Tego samego wieczora, wprost od Sokołów, udał się Howorka do Koła literacko-artystycznego, i tam wygłosił taką samą mowę z pewnemi zmianami. Faktem jednak jest, że rozumniejsi słuchacze byli nieco zdziwieni, gdy nuta jego swady zdradzała chwilowo jakiś fałszywy, nieswojski oddźwięk, lecz milczeli, nie mając zapewne odwagi zażądać, aby ten apostoł idei słowiańskiej wypowiedział jaśniej podstawy swej wiary politycznej.

Fałszywa ta nuta i inne dotąd pozory wystarczyły, aby zmusić Howorkę do wypowiedzenia wyraźniejszego widocznej już missyi apostolskiej. Przypadek prosty przyspieszył tę chwilę.

Następnego dnia we wtorek dnia 19. Kwietnia wieczorem, zebrało się grono poważnych obywateli w starej winiarni p. Gralewskiego, przy ulicy Grodzkiej, nie na pijatykę, ale na pogawędkę przyjacielską, dokąd również przybył p. Howorka, w towarzystwie pp. Grzegorzewskiego, Smólskiego i Słupskiego, którzy mu w Krakowie dotrzymywali prawie nieustannie towarzystwa.

Pogawędka dotyczyła wypadków dnia. Rozbierano pomiędzy innemi, gdzie właściwiej złożyć resztę pamiątek po ś. p. Kraszewskim? W Poznaniu, gdzie ich już jest znaczna część, czy też w Krakowie? Po kilku wymianach myśli czyli życzeń osobistych, zabrał głos Howorka, który w *zasadzie*

---

dzące na ulice i tak się zrobiła niechcący zaimprowizowana manifestacya.

Wagner natychmiast kilku oficerów wsadził na odwach, w nocy zaś kazał z mieszkań aresztować kilku urzędników, których wreszcie w dni kilka musiał wypuścić, nie mogąc im niczego dowieść.

Jeszcze z rana tego samego dnia kazał uwięzić Kurnatowskiego, kupca, za zamknięcie sklepu i kilku obywateli przybyłych z powiatu. Jest to zwykły wszystkim służkom carskim właściwy sposób okazania swej gorliwości czynownej, szczególniej gdy stracą głowę i nie wiedzą co robić.

* * *

Ta z pomyślnym skutkiem i powodzeniem przedsięwzięta i wykonana manifestacya, była dla naszego tylko co uradzonego kółka niby pewnego rodzaju zwycięstwem, wprawdzie bardzo słabej i drobnej względem całego ogromu sprawy narodowej doniosłości, zawsze jednak zachęcającem, do pójścia śmiało i z dobrą nadzieją naprzód.

Ułożyliśmy na prędce ogólny program naszych działań w sposób następujący:

Porozumieć się z ludźmi działającymi w Warszawie w celu jednomyślności i jednozgodności w postępowaniu, jakoteż wzajemnej pomocy w razie potrzeby, zawiązać stosunki z sąsiedniemi miastami i powiatami i tamże starać się ustanowić odpowiednie kółka organizacyjne, rozpowszechniać wszelkie odezwy, druki i pisma patryotyczne, w ogóle słowem i czynem prowadzić w swoim zakresie propagandę w duchu narodowym i rewolucyjnym. Wreszcie starać się o zgromadzenie funduszów, któreby można w danym razie użyć na potrzeby narodowej sprawy.

Zachęceni pierwszem powodzeniem, pełni zapału i dobrej nadziei, przysięgliśmy sobie iść naprzód, nie zrażając się niczem.

W celu powiększenia kółka liczebnie i moralnie, przyjęliśmy dwóch ludzi jeszcze, nieposzlakowanej zacności i patryotyzmu, a swem stanowiskiem społecznem, stosunkami i wpływami, mogącemi oddać wielkie usługi dobrej sprawie, mianowicie O., Z. i N. Co się tyczy wydobycia i zgromadzenia funduszów, to kółko nasze radziło sobie za pomocą nabożeństw narodowych, któreśmy urządzać się starali przy każdej okoliczności, przy każdej mniej lub więcej ważnej rocznicy narodowej. Nabożeństwa te choć dosyć liczne i często po sobie następujące, zawsze jednak również tłumnie i z równym zapałem uczęszczane były, każde takie nabożeństwo pod pozorem jakiej kwesty dobroczynnej składki na kościół lub coś innego, przynosiło nam do kilkudziesięciu rubli; abonowaliśmy zagraniczne dzienniki zakazane w kraju i te za opłatą pewnej kwoty wypożyczaliśmy do czytania, sprowadzaliśmy wreszcie hurtownie różne pisemka, broszurki i pieśni w duchu i treści narodowej lub sprawy polskiej się tyczące, i te po znacznie wyższej zbywaliśmy cenie, a nabywców chętnych nigdy nam nie zabrakło. Tym sposobem udało się nam zebrać do połowy listopada około 5.000 złp., co na Piotrków, zważywszy na krótki przeciąg czasu, coś przecie znaczy, a nie było tu z pewnością ani jednego grosza niechętnie danego.

Mimowolnie na myśl mi przychodzi, jakież to ogromne sumy przy porządnie, rozumnie, a z zapałem i sumiennie prowadzonej organizacyi wydobyć by się dało, już z samych tylko miast i miasteczek polskich, które przecie wcale bogatemi nie są, w razie jakiej nagłej narodowej potrzeby. Prawdziwy patryota polski nie rozumie co to jest nie dać, nie rozumie nawet co to jest czekać na wezwanie innych, gdy widzi potrzeby Ojczyzny. A cóż dopiero mówić o wsiach i dworach.

Zachęceni pierwszem powodzeniem, zaczęliśmy działać śmielej. Wkrótce po zawiązaniu się naszego kółka zaczęły się pojawiać różne odezwy, pisemka ulotne, stósowne do chwili obecnej, różnej formy i układu, drukowane lub pisane, które się rozszerzało bądź to rozlepiając na rogach ulic, na domach rządowych, na drzwiach kościelnych czasem i wewnątrz kościoła, bądź rozrzucając w miejscach publicznych licznie uczęszczanych, bądź za pośrednictwem młodzieży. Treści tych odezw i pisemek nie podobna bliżej i ściślej określić, zawsze była w nich mowa o miłości Ojczyzny, o narodowości, o przeszłości naszej, o zbrodni dokonanej na naszym narodzie przez Moskwę, o liczeniu na własne siły itd. itd., wreszcie o konieczności pracy szczerej, o braterstwie, równości. Tajemniczość, z jaką pojawiały się owe odezwy, niby z nieba spadłe, dodawały im uroku.

wskazywał Kraków za najwłaściwszy dla tych pamiątek. Tym poglądem złagodził przykre wrażenie, jakie wywołał Słupski, były redaktor gazety Radomskiej, a od sierpnia zamieszkały w Krakowie.

Howorka, któremu się widocznie zdawało, że bierne zachowanie się w dysputach większości towarzystwa, odpowiada jego poglądom, skorzystał ze sposobności, i nawiązując mowę do swych wędrówek po ziemiach polskich, porywał rzeczywiście krytyczną charakterystyką tychże. W końcu zawędrował do Moskwy i Petersburga.

Niepodobieństwem powtarzać tego dosłownie co mówił, ale najwyraźniej wypowiedziane zdania, nie z za parawanu oratorskiego i w gorączce, ale wprost, stanowczo, cum nomine et cognomine, brzmiały trzeźwo wypowiedziane i aż nadto zrozumiale, jak następuje:

1. Komitet słowiański w Petersburgu, to macierz wielkiej idei **wolnosci i jedności** słowiańskiej.

2. **Ignatiew** i **Katkow** to wielcy apostołowie tej idei.

3. Ta wielka idea i apostolstwo oswobodziły **Serbię** i **Bułgaryę**, a za to, odpłacają się Bułgarzy niewdzięcznością Ale co się stać ma to się stanie, gdyż teraz przychodzi chwila na oswobodzenie **Polski, Rusi**, **Czech**, **Szląska** z pod jarzma niemieckiego, potrzeba tylko połączyć się z tą wielką ideą zbawienia Słowian.

Howorka zwracając się szczególnie do Polaków galicyjskich, wyliczył wszystkie krzydy, jakich doznają, a od których ich *łączność słowiańska* oswobodzi.

Obecny redaktor „Strażnicy polskiej“ uznał za właściwe zapytać się o wyraźną wskazówkę, z kim Polacy łączyć się mają?

Odpowiedzieli mu unisono jawni i niezaprzeczeni przyjaciele polityczni Howorki, że naturalnie **z większością**, co znowu najwyraźniej znaczyło, że z **Rossyą**.

Odpowiedź taka wystarczała najzupełniej redaktorowi „Strażnicy polskiej,“ aby tym rzekomym apostołom bryznąć w oczy ich własną hańbą i zdradą narodową, gdyż Polska jest i będzie obcą wszelkim sojuszom z Moskwą, a tylko b ę k a r t y w narodzie, połechtane rublami, mogą się dopuszczać tak nikczemnej zdrady na nieszczęśliwej Ojczyznie.

Bryznąwszy raz jeszcze na pożegnanie śliną w oczy temu apostołowi czeskiemu, wydalił się redaktor „Strażnicy“ wraz z innymi zacnymi obywatelami krakowskimi.

Otóż tak wygląda rzekomy pobratymiec Czech H o w o r k a, delegat Sokołów z Pragi do Krakowa, do naszych Sokołów, apostoł b a r d z o w y r a ź n y wielkiej idei słowiańskiej i wolności.

Opowiedzieliśmy cały fakt sumiennie, i nie cofamy *ani jednego słowa.*

Obecnie należy się jeszcze zastanowić, czy Sokoły nasi, którzy przyjęli zaproszenie do Pragi, mają się tam w Czerwcu ukazać lub nie? Zdaniem naszem postanowienie to powinno podledz bardzo gruntownej rozwadze.

Wprawdzie pobratymcy nasi z Pragi zapewniają, że Polacy nie spotkają się tam z niczem, co by ich uczucia raziło. Bardzo pięknie! Ale po wyżwypowiedzianym fakcie apostolstwa Howorki, delegata Sokołów czeskich do Krakowa, rzecz się zupełnie zmienia, a więc żądać należy jawnej, p u b l i c z n e j odpowiedzi:

Czy p. Howorka był rzeczywiście delegatem Sokołów czeskich i kto go upoważniał?

Odpowiedź ta powinna stanowić o tem, czy Sokoły nasi pojadą do Pragi lub nie?

Po bliższej jednakowoż rozwadze, położyć należy i to na szali, czy gdyby się nawet Czesi wyrzekli solidarności z Howorką, nie znajdą się tam jeszcze inni, zręczniejsi apostołowie, którzy będą umieli lepiej wyzyskać serdeczne uczucia młodzieży polskiej, zasiać w ich umysłach ziarno trujące, a zabójcze dla idei polskiej.

Są to obawy uzasadnione. Jeżeli zaś są niesłuszne, to niech Czesi, którzy są obecnie rozbici na dwa obozy, orzeką solidarnie, że n i e m a j ą i n i e b ę d ą m i e ć nic wspólnego z tą wielką ideą słowiańską, której macierzą jest komitet słowiański w Petersburgu i Moskwie, a apostołami Ignatiew i Katkow.

My Polacy jesteśmy również za połączeniem szczepów słowiańskich, ale z tej wielkiej rodziny wyrzucamy Rossyę, która nie była, nie jest, i nie może być n i g d y słowiańską, tak samo jak nie jest Rusią.

Opieka nad przyszłą wielką Słowiańszczyzną należy się zupełnie komu innemu, na której oprze swoją potęgę. Pod tym sztandarem staną i Polacy.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Czem grzeszymy?

(K) Nikt nam zarzucić nie może, byśmy nie spełniali naszych obowiązków i nie stali na straży klas pracujących, gdyż bronimy zawsze słusznej ich sprawy, ale też i nikt za złe nam tego wziąć nie może, jeśli wypowiemy prawdę choś gorżką i wytkniemy te błędy, które nas spychają czem raz niżej pod względem materyalnym i moralnym.

Wprawdzie jakiś dziwny i zgubny konserwatyzm opanował nas zupełnie, a my pomimo smutnych następstw i skutków, dotąd niczego się nie nauczyli, ani też nie zapomnieli niczego, jednak rzucamy tych słów kilka i kołatamy od czasu do czasu do rozsądku klas interesowanych, pracujących, bo może przecież raz ockniemy się z tej martwoty i zechcemy pojąć i zrozumieć nareszcie, że idzie tu o naszą własną skórę. Naszym obowiązkiem jest wytykać błędy i wady, którymi wobec nas samych grzeszymy, a nie tłumaczyć je i usprawiedliwiać, bo złe rośnie w przerażającym stosunku, rozkrzewia się i pożera nareszcie. Nie wahamy się przeto dotknąć ręką ran, budzących przykry widok, bo jakże potrafimy je zagoić, nie poznawszy dokładnie? Zgniliznę nie ukrywać, ale należy ją wyciąć, by nie zarażała zdrowych części.

A tem głównem złem, tą wiecznie rozjątrzoną raną, jest brak solidarności, brak zrozumienia interesów, i niczem nieuzasadniona, nieusprawiedliwiona zawiść. Dlategoteż na marne idą najlepsze chęci i dążności jednostek uczciwych, pełnych poświęcenia, dobrej woli i zaparcia się własnego, na marne idą wszelkie wysiłki i ofiary, które jak o granitową skałę rozbijają się o niechęć, obojętność i niedowierzanie interesowanych, dla których poświęca się wszystko.

Czyż takie sukcesa mogą zachęcać do dalszej pracy, do ofiar? Czyż one nie mogą zachwiać przekonaniami najsilniejszych istot? Odpowie nam kto może, że ci nie mieli przekonań utrwalonych, ale my podnosimy tę okoliczność bardzo ważną, że ludzie są tylko ludźmi i rzeczy nadludzkich wymagać od nich nie mamy prawa.

Przeciwności i niepowodzenia muszą ugiąć śmiertelnika lub złamać w razie silniejszego odporu. To jest rzeczą zupełnie naturalną.

Ale jest tu jeszcze jeden czynnik, który nie dopuszcza do zsolidaryzowania się ludzi pracujących, rozbija ich na pojedyncze jednostki, które przecież o wiele łatwiej wyeksploatować i uczynić białymi murzynami.

Czynnikiem tym są żydzi, którzy prawie cały handel i rękodzieła zabrali w monopol — szczególnie na prowincyi — a używają wszelkich środków, aby utrzymać tenże w swych rękach i nadal. Dla tego to niechętnie się patrzą, gdy się zawiąże jakaś spółka, jakieś towarzystwo ludzi pracy, w celu skupienia swych drobnych kapitałów i bronienia się przeciw strasznemu wyzyskiwaniu.

Nie kierujemy się tu żadną nienawiścią rasową ani religijną; dalecy jesteśmy od tego, ale pocóż ta głupia jakaś konwencyonalność, ta jakaś wzajemna etykieta i udawanie obopólnej miłości. My się kierujemy tylko miłością prawdy; kłamstwem i udawaniem gardzimy.

Nie wypływa jednak z tego, byśmy potępiali żydów w ogólności; owszem, dla tej części, która oddaje się pracy umysłowej czy to fizycznej, byle tylko uczciwej, mamy szacunek; ale ludzi nic nie robiących, a żyjących tylko krzywdą drugich, bez względu na to, czy chrześcijan czy żydów, uważamy za pasożytów i wyzyskiwaczy.

Żeby nie spotkać się z zarzutem, iż szermujemy tylko słowami, przytoczymy jeden, ale wiele mówiący przykład.

W zachodniej części Galicyi, leży mała mieścina Radymno, zamieszkana prawie przez żydów, jak to ma miejsce w całym naszym kraju. Ta mała ilość żyjących tam chrześcijan zajmuje się przeważnie powroźnictwem, ale cóż, ludzie ci, nie mając żadnych kapitałów, nie mając odpowiedniego zbytu, ani możności wyrobienia sobie stosunków, a tem samem odbiorców, byli w straszny sposób wyzyskiwani. Żydzi otrzymywali zamówienia z rozmaitych stron kraju, kupowali więc przędziwo i oddawali takowe do roboty powroźnikom, za którą płacili tyle, ile im się podobało.

Biedny taki człowiek, obarczony rodziną, targował się wprawdzie o cenę, ale nielitościwy spekulant korzystał z potrzeby i zostawiał do wyboru: głód, lub robotę licho płatną. Niestety głód przechylał szalę na stronę wyzyskiwacza.

Ale znalazło się kilku ludzi, a między tymi ks. P a s t o r, który odczuwał tę krzywdę biednych powroźników i nie uląkłszy się przeciwności i tysiącznych przeszkód, zawiązał Towarzystwo powroźnicze, aby ulżyć dolę wyzyskiwanym bez litości. Drobne 20-guldenowe udziały utworzyły kapitał, który umożliwiał rozpoczęcie interesu. Zawiązano stosunki handlowe, urządzono wzorowy skład, a każdy członek miał podostatkiem roboty, za którą mu płacono tyle, ile zarobił.

Zaniepokoiło to żydów, ale sądzili, że towarzystwo musi upaść niedługo. Upływa rok i drugi, ale stosunki się owszem polepszają, pod energicznem kierownictwem ks. Pastora.

Trza było zacząć przeciwdziałać, lecz czyż to u nas tak trudno wywołać waśnie i nieporozumienia? a dla czego? Bo nie pojmujemy własnych interesów i nie mamy tego poczucia solidarności, bo się dajemy powodować choćby najzgubniejszym podszeptom i na ołtarzu osobistych spraw lub uraz, kładziemy sprawy ogólne, byt nasz i istnienie.

I tak w takiem Radymnie oderwało się trzech zaledwie ludzi inspirowanych przez żydów od Towarzystwa i ci trzej założyli „s p ó ł k ę k o n k u r e n c y j n ą“ bez żadnych kapitałów, mając tylko zapas nienawiści i osobistych uraz.

Kiedyż nareszcie ockniemy się z tej martwoty, wyrobimy w sobie jakąś samodzielność, poczucie własnej godności i pojęcie, że tylko w jedności i solidarności jest siła i przyszłość?!

A byłby po temu już czas najwyższy. Spieszmy się z tem, aby kiedyś nie było za późno, a przyszłość nie zastała nas nieprzygotowanych.

Jednę z odezw w języku rossyjskim wyłącznie dla Moskali, dla żołdactwa poświęconą, znaleziono przylepioną na armacie, żołnierze zaś moskiewscy przechodzący przez miasto, niejednokrotnie wracali do koszar z przylepioną im na plecach drukowaną lub pisaną kartką, winę czego składano najczęściej na złego ducha.

Listy do jednostek różnych pisane, stanowiły także nie mały wydział naszej pracy.

Osobistości podejrzane otrzymywały listy z szubienicą na czele, krótko i zwięźle wyrażające co ich czeka, jeżeli w danym czasie nie zmienią postępowania. Osobom obojętnym dla sprawy posyłano listy z wyrysowanym kotem miauczącym lub batem, stósownie do tego, czego kto był wart.

Mając liczne stosunki i stósownie postępując, mogliśmy wiedzieć z łatwością o najmniejszem, nawet głupiem lub dwuznacznem słówku, o każdem niestósownem postąpieniu, niezgodnem z uczuciem godności i czci narodowej, o każdem wykroczeniu przeciw moralności, uczciwości i czystości obyczajów. Nie zaniedbaliśmy takich okoliczności, by tajemniczą drogą przesłać liścik z serdecznemi a czasami gorżkiemi słowami prawdy.

Nasz trybunalski gród Piotrków, ujemnej ale zasłużonej zażywa sławy pod względem ochoczego wychylania kielichów... kilkakroć uderzyliśmy w tę drażliwą strunę, w imię miłości własnej i godności narodowej i odezwanie się nasze nie pozostało bez widocznego skutku. Mimowolnie wyrobiło się przekonanie o istnieniu jakiejś tajemniczej władzy, wiedzącej o wszystkiem i widzącej wszystko... którą zaczęto szanować i obawiać się zarazem, i z powodu tej obawy nie starano się jej bliżej śledzić, choć była ochota po temu.

Stopniowo zawiązało kółko nasze bliższe stosunki z Wieluniem Radomskim, Częstochową, Opocznem, Łęczycą, Zgierzem i w innych miastach, ma się rozumieć stosunki nam tylko wiadome.

W każdem z tych miast powstało miejscowe narodowe kółko w odpowiedni miejscowym potrzebom sposób zorganizowane, które to kółko Komitet centralny pod swoją władzę zagarnął.

Bez instrukcyj pisanych, posiekanych na paragrafy i uwagi, kółka owe z dziwną jednozgodnością trzymały się tego samego sposobu postępowania jak nasze.

We władzę żadną nie zabawialiśmy się. Całą władzą naszą była czystość i świętość dobrej sprawy, której służbie z całym zapałem i oddaniem poświęcaliśmy się, szczerość owej służby naszej, z której nie szukaliśmy czczej chwały i rozgłosu, woląc bezpieczną tajemniczość, wreszcie uznanie ogółu, wśród którego pracowaliśmy, a który sercem nasze dobre chęci zrozumiał i swojem uznaniem uświęcił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeszcze o ruskiej pisowni.

Wiadomo naszym czytelnikom o tem, że p. minister Gautsch zamierzył wprowadzić w szkołach galicyjskich ruską pisownię na zasadzie fonetyki. Pisma ruskie pisały dość w tej sprawie, a pomimo tego, iż i my obznajomili czytelników „Strażnicy polskiej“ z tokiem tej sprawy, nie możemy pominąć zamieszczonego artykułu w ruskim dwutygodniku „Bukowyna“, organie Rusinów narodowców bukowińskich.

Oto co pisze organ ukraińców:

„„Nowy Prołom“ przedrukował w Nrze 423. nasz artykuł „Ortograficzne pytanie“ jak sam powiada bez wszelkiej zmiany, opuściwszy tylko 88 wierszy. Gdy nasz artykuł obejmuje 245 wierszy, to nasz szanowny borytel „j a z y c z s e k o - e t i m o ł o g i c z e s k i j“ wypisał sobie wedle swego widzimisię 57 wierszy. Jednak i za tę wzmiankę podaną „b e z p r i m i c z a n i j“ (bez komentarzy) należy mu się uznanie, gdyż w ten sposób (prawda mimowoli) przyczynił się do rozszerzenia choć małej cząstki prawdy. Ciekawą rzeczą będzie dla czytelników „Bukowiny“, jakie ustępy wypuścił „Prawdołom“; otóż ustęp objaśniający gorzkie łzy „Słowa“, dalej ustęp o polemicznem zadaniu „M o s k o w s k i c h ż u r n a ł o w“ o naukowej podstawie fanetyki, lub o „Welikom Pitjeri“. Wypuszczenie najważniejszych dowodów przemawiających za fonetyką, a zbijających kłamliwość pisowni „etimologiczeskoi“, dowodów, które uwidoczniają okłamywanie, tumanienie ruskiego narodu ze strony twardogłowów, jest niczem innem jak mimowolnem przyznaniem nam słuszności. Notujemy w końcu fakt, że ani „Prołom“, ani „Słowo“, ani „Parlamenter“ ani też czeskie russofilskie gazety, a właściwie ich czerniowiecki korespondent nie tylko niezbili, ale nawet nie próbowali przeciwstawić choć jeden punkt, przeciw naszemu artykułowi o pisowni. Moralne zwycięstwo „Bukowiny“ nad moskiewskimi [illegible]rokami kłamstwa otworzy oczy wszystkim,“ którzy jeszcze mają chęć do poznania prawdy. Posiadamy liczne uznania dla „Bukowiny“ za to, iż ona miała odwagę wypowiedzieć prawdę, bez względu na wrogów, którzy opierając się na kłamliwym konserwatyzmie, wpojonym przez Rusinów zaprzedańców moskiewskich, spodziewali się więc zupełnej swobody działania, w tem tak żywotnem dla Rusi pytaniu. Przywykłszy do nie ukrywania niczego notujemy również, że z pomiędzy wszystkich naszych czytelników znalazł się tylko jeden jedyny, którego oburzyły nasze poglądy na pisownię, co nie przeszkadzało wcale temu „u c z o n e m u“, na odcinku przekazu pocztowego, kilka razy zgrzeszyć na korzyść fonetyki. Alež to człowiek, który zpewnością 30 lat zajmuje się c o d z i e n n i e pisownią „e t i m o l o g i c z e s k o j u“. a do dziś jeszcze nie wstanie napisać podług tejże kilka wierszy poprawnie. I ten pan śmie jeszcze demonstrować fonetykę! Smutno — za mało — bo strasznie pomyśleć, dokąd prowadzi ludzi fanatyzm!? Dowiedź nam panie, że to co powieliśmy o fonatyce jest nieprawdą! Ale tego nie można wymagać nawet od „Prołomu“ — a cóż dopiero od ciebie mój panie?— Pańska demonstracya napisana pewnie bez wiedzy czytelni — bo że bez świadomości rzeczy to pewnie, jest tylko smutnym dowodem, do czego może użyć bezsumienny człowiek naszego narodu, gdy ten się zdaje na niego w dobrej wierze. Niech ci to panie Bóg przebaczy, — „albowiem nie wiesz co czynisz“.

Spełniwszy nasz patryotyczny dziennikarski obowiązek w tej tak ważnej sprawie dla Rusinów, wyczekujemu spokojnie odpowiedniego rozstrzygnięcia.

Do Przewielebnego Duchowieństwa.

Dotąd lud polski na Szląsku jedyny prawie między narodami austryackimi, znajduje się w tem wyjątkowem położeniu, że pragnąc duchowego rozwoju i wyższego wykształcenia, nie może go osiągnąć w sposób przyrodzony, narodowy.

Oświaty nie może nabywać prostą drogą, w języku ojczystym, nie mając narodowych szkół, zwłaszcza średnich. Polacy w Galicyi, Czesi na Morawie, w Czechach i Szląsku, również Słoweńcy, Dalmatyńcy i Włosi, wymogli sobie szkoły narodowe i młodzież ich ma ztąd ułatwienie w naukach, podobnie jak niemiecka, według pedagogicznej zasady: że nauka najłatwiej i najpewniej zaszczepia się tylko w ojczystej mowie. Lud polski na Szląsku nie doznaje tego ułatwienia, jego synowie i ich rodzice ponoszą przez to wielorakie straty, materyalne i moralne, które są powszechnie wiadome, a najdotkliwszą jest, że ten lud nasz coraz więcej pozbawianym jest własnej, przewodniczącej mu inteligencyi.

Potrzeba ludowi polskiemu szkół polskich; od dziesiątków lat woła on też o gimnazyum polskie. Odzywa się w nim głos znany i ważny: Naród, który ma szkoły, ma przyszłość. Odezwa to lud szląski i chce się chronić od upadku. Dla tego utworzyło się Towarzystwo „Macierz szkolna dla księstwa cieszyńskiego“, które ma się starać o potrzebne szkoły, w pierwszym rzędzie gimnazyum polskie, i w tym celu musi przedewszystkiem starać się o niezbędne środki.

Niestety, lud szląski pragnie, ale nie ufa sobie, swoim siłom. Jest to do uniewinnienia, kiedy jest ogołoconym z możniejszych warstw, któreby z jego potrzebami narodowemi sympatyzować mogły. Lecz ufnoć w Boga i bratnią pomoc za łaską Bożą może mu udzielić tych sił. Potrzeba mu więc tylko tej ufności, któraby go zachęcała. Z tej przyczyny Macierz szkolna stosuje swą odezwę w szczególności do Przewielebnego Duchowieństwa o łaskawe współdziałanie.

Przewielebne Duchowieństwo, zgoła jedyne z pomiędzy wyższych warstw społeczeństwa, podziela uczucia i potrzeby narodowe ludu szląskiego. Ono też tylokrotne dało dowody starania o zadośćuczynienie wymogom narodowym tego ludu, bo najlepiej doświadcza tego, że wszelka nauka, jak zwłaszcza nauka religii najmocniej się za pomocą języka narodowego utwierdza; bo wie, że religia i narodowość są w ścisłym związku, a kto narodowość swoją lekceważy, łatwo też religijnych uczuć się pozbawia. Przewielebne duchowieństwo Katolickie najwięcej może się przyczynić, aby się spełniło życzenie i pragnienie ludu szląskiego, chroniące go od upadku, który mu już grozi nawet brakiem własnych księży, gdyż młodzież szląska, jak często się zdarza, nie może przebić się przez szkoły z obcym językiem wykładowym.

Pamiętą Szląsk, że w szczególności Przewielebne Duchowieństwo Katolickie dbało o dobro narodowe ludu polskiego, i czynnem się okazało około wzrostu licznych instytucyj narodowych. Macierz szkolna także spodziewa się równej przychylności i opieki, gdyż z pewnością na nią zasługuje. Zarząd Macierzy szkolnej zaprasza tedy niniejszem najuprzejmiej Przewielebne Duchowieństwo do przystąpienia za członków do tej instytucyi, co będzie nietylko materyalnem ale i moralnem poparciem dla niej, i prosi dalej o utwierdzanie ufności i dobrej wiary w powodzenie wśród ludu, boć przedewszystkiem lud szląski sam powinien się dokładać choć wdowim groszem, aby być pomocy godnym.

Ponieważ ludność naszej krainy podzielona na dwa wyznania, odzywa się Macierz szkolna również do Przewielebnego Duchowieństwa ewangielickiego. Z pewnością lud ewangelicki chętnie także będzie korzystał z zamierzonej szkoły polskiej, i zarząd Macierzy szkolnej uprasza Przewielebnych Duchownych ewangielickich o takie same poparcie.

Ufamy w końcu, że i Przewielebne Duchowieństwo w innych krajach polskich, mianowicie w Galicyi, użyczy swego wpływu pomiędzy współrodakami na korzyść Macierzy szkolnej, aby pożądane dzieło czem rychlej urzeczywistnić.

Pierwszoroczne sprawozdanie Macierzy szkolnej może upewniać każdego współziomka w dobrej nadziei, a przychylne współdziałanie Przewielebnego Duchowieństwa będzie jej poręką.

Zgłoszenia prosimy adresować do Wgo Ks. Monsignore Jana Sikory, sekretarza jeneralnego wikaryatu w Cieszynie, jako skarbnika stowarzyszenia.

Kończymy wyrazem największego uszanowania i szacunku.

Zarząd Macierzy szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego.

Przewodniczący: P. Stalmach.

„Szkaradne oszustwo.“

Pod tym tytułem podaje *Kuryer lwowski* co następuje:

„Niedaleko Bochni leży folwark Roździele górne, liczący przeszło 500 mieszkańców. Poprzedni jego właściciel, sprzedał ten folwark niejakiemu panu Kielawie. Pan Kielawa będąc w potrzebie pieniężnej — ludzie zaś mówią, że dla spekulacyi — rozparcelował ten folwark i sprzedał palcele wieśniakom po dość wysokich cenach. Kontrakty kupna zawierały punkt, że dopiero po dwóch latach nowi nabywcy gruntów mogą się intabulować, podczas gdy ceny kupna natychmiast mieli złożyć, co też uczynili. Chłop jednak z natury przezorny, koniecznie podejrzywał jakąś nieczystą sprawę i aby jego podejrzliwość usunąć zapewniono go, że tabula jest czysta, że tu o żadne oszustwo nie chodzi. Aby go jeszcze tem bardziej o bezinteresowności „pana“ przekonać, porobiono kontrakty na blankietach, na których nagłówkach tłustym drukiem był następujący napis:

„Za panowania Jego ces król. apostolskiej Mości cesarza Franciszka Józefa I.“, poczem na-

KONGRES.

Lew w usługach dla państwa znękany schorzały,
Zakończył chlubny żywot. Wnet zbiera się Rada
Wdzięcznych zwierząt: by pogrzeb wyprawić wspaniały
Temu, którego królem uznała gromada.
Zbierają się więc zewsząd pod cienistem drzewem,
Szlachetniejsze zwierzęta: Ptaki sławne śpiewem,
Czujne żórawie, mrówki, miodonośne pszczoły,
Jelenie, pracowite ukraińskie woły,
Barany z cienką wełną, rącze jak wiatr konie,
Łosie, litewskie żubry, wielbłądy i słonie.
Weisnęły się tam także na ten kongres liczny,
Wieprz karmny, cielęt parę i mopsik fertyczny.
Grono poważnych radzi. Wszyscy jednozgodnie
Twierdzą, iż lwa zasługi trzeba uczcić godnie.
„Co? wrzaśnie mopsik. Veto! Nie pozwalam!“ — krzyczy.
Zaczyna szczekać, wyje, kręci się, skowyczy:
„Wiem to z ust wiarogodnych pocziwego lisa,
„Że lew ten kiedyś zagryść miał zamiar tygrysa.
„A ja mu wiernie służę. Więc nie mogę znosić,
„By zbrodniarza mniemane zasługi wynosić.
„Już go hijeny, szakale od czci odsądziły.
„I ja się z niemi łączę. Wyznaję w tej chwili,
„Jakem Jadrań, nie chcę by nasze zgromadzenie
„Obarczało występną uchwałą sumienie.
„Wasze dla lwa uczucia i śmieszne i dziwne.
„Zacne zwierzęta zawsze były mu przeciwne:
„Osły, puszczyki, szczury, krety, żaby, raki,
„Pchły, pluskwy, tarakany, pająki, prusaki,
„On był królem motłochu i ciemnego tłumu,
„Lecz wyższe towarzystwo słynące z rozumu,
„Którem rządzi robaków naukowe ciało,
„Nigdy go królem swoim uznawać nie chciało.
„Ot! zapytajcie wieprza, mego przyjaciela,
„Pewny jestem, on moje zdanie też podziela.“
Ozwał się wieprz. Ryj podniósł dla większej powagi.
Coś rechtał — lecz nikt na to nie zwracał uwagi.
Mops dalej peroruje — nikt mu nie przerywa,
Aż ktoś do zgromadzonych cicho się odzywa:
„Z nim nie ma co rozprawiać. Za drzwi wypchnąć trzeba...
„Ten mopsik pójdzie wszędzie za kawałkiem chleba.
„Jadrań! pójdź tu! chodź Jadrań!“ Mops skoro chleb zoczył,
Przestał szczekać i pędem za chlebem poskoczył..
Wtem, drzwi za nim zamknięto. Tak zrządziły losy
Że nigdy pod niebiosy nie idą psie głosy.

(*„Djabeł“ Krakowski.*)

stępuje tekst pisany kontrastów. Rozumie się, że napis taki jeszcze bardziej służył do wprowadzenia w błąd chłopów i ci chętnie zawierali proponowane sobie kupna. Nic złego nie przeczuwając, objęli kmiotkowie grunta w posiadanie. uprawiali je, pobudowali się na nich, aż nagle przed kilkoma tygodniami otrzymują zawiadomienie sądowe, że cała wieś Rodziele górne, a zatem ich grunta są wystawione na licytacyę, która się odbędzie 13. czerwca b. r. Gromadka tych biednych nie chciała z początku temu wierzyć i udali się do sądu. I cóż się tam dowiedzieli? Oto nie mniej nie więcej jak, iż Rożdziele górne od czasu jak oni grunta tam nabyli, już przeszło przez trzecie czy czwarte ręce, i że według ustawy muszą oni tem pewniej opuścić te grunta, chaty i zabudowania gospodarskie, ile że w przeciwnym razie przeciw nim przymus będzie użyty. Łatwo sobie przedstawić rozpacz tych biednych ludzi, którzy w sposób haniebny zostali oszukani przez niesumiennych, którzy dla niecnej spekulacyi niewzdrygali się nawet przed zbrodniczem matactwem. Sprawka ta rozeszła się już po całym powiecie. Wszędzie po chatach wiejskich o niej mówią. Niektórzy światlejsi wieśniacy radzą zagrożonym ruiną wieśniakom, aby się udali w tej sprawie do posła włościańskiego Orzechowskiego, drudzy obawiają się, że poseł Orzechowski niczego nie potrafi zrobić, jako ze sprawą czysto sądowej natury.

Co się z tą sprawą stanie, jeczcze nie wiemy. Zrozpaczeni uważają wszystko za stracone, ale to pewne, że takie sprawki większą krzywdę interesom publicznym kraju przynoszą, niż jakiekolwiek agitacye. Chłopi są zdecydowani do upadłego się bronić, i nie ustąpić z własnych chat ani z gruntów dobrowolnie".

Szczegóły przytoczone umieszczamy na podstawie dowodów. Jesteśmy zdania, że Koło polskie w Wiedniu ma święty obowiązek zająć się skonstatowaniem faktu, i wyjednaniem zwłoki w egzekucyi sądowej aż do wynalezienia sprawców tak ohydnego oszustwa i pociągnięcia ich do odpowiedzialności karnej i cywilnej."

Otóż w tej samej sprawie odbieramy równocześnie korespondencyę z Wiednia a fakta w tejże zawarte, tworzą jakby drugi akt tego zbrodniczego dramatu.

Rzecz się tak ma:

Oszustwo popełnione na nieszczęśliwych włościanach, nie było bynajmniej tajne okolicznym sąsiednim dworom i osobom, które w pierwszym rzędzie miały obowiązek doniesienia o tym rozboju c. k. Prokurotoryi. Przeciwnie, *aby nie kalać własnego gniazda* i nie hańbić publicznie *klejnotu szlacheckiego*, usiłowano wszystko pokrywać największą tajemnicą. Nie znalazła się ani jedna uczciwa dusza, któraby te ofiary rabunku szlacheckiego ostrzegła, w jakie sidła wpadły i dopomogła do ratunku.

I cóż się dzieje teraz, gdy te ofiary odarte, obrabowane z mienia, tuż — tuż mają być wyrzucone z chat na nędzę i rozpacz. W tej nagłej potrzebie, udali się oni do delegata do Rady państwa Orzechowskiego, włościanina, oddając do rąk jego wszelkie dokumenta, a mianowicie te osławione kontrakty kupna i sprzedaży, zamierzając równocześnie wobec grożącego im niebezpieczeństwa prosić o posłuchanie u Monarchy. Orzechowski postanowił działać energicznie i poradzić się kolegów w Kole polskiem, co mu czynić wypada.

I cóż się dzieje? Oto Argusy stańczykowscy, recte ekspozytury straży pożarnej, czuwający głównie nad tem, aby podobne szacherki i zbrodnie nie wychodziły na wierzch, powiadomieni poprzednio o grożącem niebezpieczeństwie, opanowali natychmiast Orzechowskiego, jak tylko się dowiedzieli co zamyśla uczynić, i nie puścili go prędzej, dopóki tenże pod naciskiem nie dał słowa honoru, że nie przedsięweźmie żadnego kroku, a tak papierów, jakoteż kontraktów żadnemu z delegatów, oprócz ich, nie pokaże.

Jest to nowy dokument, do czego ta klika zdolna, jakich używa środków, gdy tylko idzie o zakrycie nawet takiej zbrodni na nieszczęśliwym ludzie. Wprawdzie jak nam donoszą, dowiedział się o tem wszystkiem delegat Hr. Hompesch, który oburzony powiedział, że zedrze maskę z tego zbrodniczego szachrajstwa.

My z naszej strony oświadczamy wiadomym Brandmeistrom, którzy usiłują tę zbrodnię schować pod korzec, że jeżeli natychmiast nie zwolnią p. Orzechowskiego od podstępem wymuszonego na nim słowa honoru na milczenie — i jeżeli sprawa ta nie wejdzie bezzwłocznie pod jawne obrady Koła polskiego, redakcya „Strażnicy polskiej" nie będzie szczędzić *żadnego nazwiska*, ani z niem połączonego faktu — i odda całą sprawę pod sąd opinii publicznej.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Nasze księgarstwo galicyjskie.

Każdy człowiek, stojący na jakimkolwiek stopniu świadomości do oświaty, wie o tem, jakim to ważnym czynnikiem ku szerzeniu tejże jest księgarstwo. Mianowicie u nas, gdzie kierownictwo dla oświaty, potrzebuje niezbędnie już w handlu księgarskim być uwzględniane, bo my Polacy żyjemy w zbyt odrębnych warunkach — to też i „księgarnia" jako taka, nie może być uważaną jedynie jako handel książkami, obliczony tylko na zysk materyalny.

Przyznajemy, że takie skrupuły w handlu, są dla zysków — niezbyt praktyczne, ale gdy nasi pp. księgarze rozpoczynają swój zawód, wsiadają zwykle na bardzo wielkiego Rozynanta patryotycznego — któremu przynajmniej część społeczeństwa wierzy, i o ile może popiera. Dziś ten księgarski patryotyzm schodzi na bardzo smutną blagę — gdyż nie szukaj tam idei narodowej, której nie ma; szumna, huczna reklama, przysposabiana na kosmopolitycznym sosie, z hasłem: „byle handel szedł!" — ot i wszystko.

Powaga dawniejsza firm księgarskich ginie coraz więcej i zaciera się. Nie szukając dalej, obejrzyjmy się po Lwowie, a nabędziemy przekonania, że gdy zabrakło starych naszych księgarzy — to obecne firmy są tylko składami hurtownymi dla wydawnictw wszech krajów, lub też magazynami, gdzie się wszystkiem handluje, co się sprzedać może. A sprzedają się nawet „specyalności" wprawdzie tylko drukowane lub ilustrowane.

Patryotyczne księgarstwo lwowskie zmieniło się znacznie ze śmiercią ś. p. Wilda i Bartoszewicza. — Wprawdzie dziś wdowa po tym ostatnim, nie zboczyła ani na krok od idei ś. p. męża — lecz czy jej się dziwić można, że nie ma na tyle sił, aby stanąć do ciężkiej walki z najniezszlachetniejszem i najnieuczciwszem współzawodnictwem. A przecież ta: „Księgarnia polska" ma najzupełniejsze prawo do tej nazwy, bo gdyby nic więcej nie zdziałała, jak tylko dając krajowi: „Bibliotekę mrówki", już się bardzo dobrze zasłużyła oświacie krajowej. Tymczasem, kto przejrzy katalog „Księgarni polskiej", która chociaż stosunkowo nie jest najstarszą firmą lwowską, znajdzie tam cały szereg wydawnictw cennych polskich, które ani ziarnka demoralizacyi nie zasiały. W takiej księgarni ani nie pytaj o książkę lub czasopismo, któreby nie było godnem imienia polskiego. W takich też księgarniach nie spekuluje się nigdy, aby za parawanem patryotycznym, rzucać w masy „kulturträgeryę" najobrzydliwszej, najwstrętniejszej bibuły niemieckiej, wrogiej i ohydnej, która nietylko u nas ale i u siebie stała się plagą, bo szerzy zgubne zepsucie, a tem samem przyczynia się do zatraty idei narodowej. Niechaj ktoś przejrzy te wydawnictwa obce, dla których rozszerzenia utrzymują niesumienni księgarze całą legię kolporterów, wchodzących wszędzie do najbiedniejszej chaty nawet, zachwalających ten drukowany i illustrowany kał. Takie pronograficzne płody, lub wprost wrogie naszej narodowości, muszą zabijać ducha i rozgnająć w tych, którzy instynktowo łakną pokarmu zawartego w książce drukowanej.

Tradycya nas uczy, że księgarstwo polskie, które dorabiało się słusznie uczciwą narodową pracą mienia — nikt mu takowego nie zazdrościł, a księgarze tacy nawzajem, nie usiłowali dławić młodszych kolegów, którzy stawali do współzawodnictwa. Takich skandalicznych procesów księgarskich, jakich widownią w ostatnich kilkunastu latach był Lwów, gdy to aż policzki pewnych dorobkiewiczów wyzyskiwaczy, patryotników, były odbiciem głośnego echa, nie znało księgarstwo galicyjskie przedtem.

Szlachetna konkurencya w wydawnictwach, nakładach co do jakości i ilości, oto była jedyna walka, która zasługiwała na uznanie. Dziś się czasy zmieniły, i jeżeli księgarz poświęcający się patryotycznie, nie obliczy na pewnika, że mu nakład co najmniej przyniesie sto za sto, to go się z pewnością nie tknie. Wobec takich miłych poglądów nie dziw, że księgarstwo zatraca coraz więcej charakter zaszczytny, a zchodzi do poziomu najzwyklejszego kramarstwa, lub też składów pozakrajowych wydawnictw.

Obecnie mamy jednak do zaznaczenia fakt dodatni, z którym się księgarstwo galicyjskie musi bezwarunkowo liczyć. Oto spadkobiercy s. p. J. K. Żupańskiego w Poznaniu, wierni tradycyi tej dobrze zasłużonej w Polsce firmy, a które powodzenie zawdzięcza jedynie uczciwości księgarskiej, nie spoczęli na laurach zdobytych przez dzielnego założyciela, ale postanowili w myśl ś. p. testatora iść naprzód i spełniać swe obywatelskie obowiązki. Syn ś. p. J. K. Żupańskiego, objąwszy księgarnię poznańską, posiadając ku temu odpowiednie środki, połączywszy się również z młodym fachowym i sprężystym towarzyszem p. K. E. Heumannem, otworzyli przed rokiem drugą księgarnię nakładową w Krakowie. Otworzenie takiej księgarni w Galicyi, było nietylko na czasie, ale wielce pożądane, mianowicie z tego powodu, że zasoby i środki firmy, niepotrzebują się obawiać zawistnej konkurencyi, która tej firmie nie zaimponuje, ani jej też nie zdusi.

Spółka ta, w jednym roku rozwinęła taką czynność dodatnią, o jakiej księgarstwo galicyjskie nawet nie marzy. W jednym roku, wydać przeszło dwadziedzieścia ośm dzieł, i to takich, za jakie się księgarz rumienić nie potrzebuje, to dziś wypadek rzadki, bardzo rzadki.

Spotykamy się przedewszystkiem z pysznem wydaniem. „Pieśni o ziemi naszej „W. Pola, illustrowanej przez Juliusza Kossaka. Jest to wydanie tak piękne, jakie tylko wyjść może z prawdziwie europejskiej typografii, lecz nader przystępne, prawdziwe cacko cenne, które w każdym polskim salonie znajdować się powinno. Dalej: „Obrazy z życia kilku pokoleń w Polsce" IV i V. tom, przez Juliusza Falkowskiego. „Nasi powieściopisarze", zarysy literackie tegoż. „Ostatnie chwile powstania styczniowego" przez Z. L. S. „Studya i szkice z dziejów literatury polskiej" Piotra Chmielowskiego 2 tomy. Rok 1386, w pięciowiekową rocznicę napisał „Stanisław Smolka". „Armia Rossyjska", „Nowela" Michała Bałuckiego, „Nowele" Br. Hagen, „Szkice i poszukiwania historyczne" Kazimierza Pułaskiego. Bossueta „Listy do Panny", w Metzu przełożone przez Jacka Nałęcza. „O religii poczciwych ludzi" przez Stanisława Nowickiego roku 1769 **J. I. Kraszewski**, Pamiątka jego pogrzebu. Książka ta zawiera szkic biograficzny, i sześćdziesiąt lat pracy, tego nieodżałowanego apostoła narodu polskiego, od r. 1828—1887 Abecadłowe i chronologiczne zestawienie działalności naukowej i literackiej, z wymienieniem wszystkich wydań dzieł Jego i przekładów na obce języki, przez K. Estreichera. Wydanie to było również wielce pożądanem, a świadczy o energicznym ruchu księgarni.

Nie małą usługę oddała księgarnia ta wydaniem dzieła pod tytułem: — „Ilustrowane dzieje porozbiorowe Polski" od r. 1791—1864, które ułożył dla młodzieży Józef Chociszewski. Książka ta jest nieocenioną, gdyż zamieszcza to, co nawet nietylko młodzieży przystała wiedzieć, ale tak samo powinno być znane pod słomianą strzechą włościańską, w warstacie chociażby najuboższego rękodzielnika — mieszczanina, którzy wyższego wykształcenia nad szkoły ludowe nie mieli. Nie znamy lepszej i odpowiedniejszej książki na nagrody dla młodzieży obojga płci, która w tym roku kończy nauki w szkołach ludowych. Byłoby więc wielce do życzenia, aby przyjaciele oświaty zwrócili oko na to nader pożądane dziełko.

Wyraźniej winniśmy zaznaczyć podjęte wydawnictwo: „Nowej Biblioteki uniwersalnej", arcydzieł literatury europejskiej, której od nowego roku dotąd wyszło cztery zeszyty, każdy po 10 arkuszy druku na papierze satynowanym, w większej ósemce. Wydawnictwa tego rodzaju, były już niejednokrotnie wprawdzie podejmowane, ale przez ludzi, którzy nie doróśli do takich wydawnictw, a usiłowali tylko w jak najkrótszym czasie zapełniać kieszenie, lub też rozpocząwszy wydawnictwo, nie wytrwali.

Firma J. K. Żupański i K. J. Heumann, daje nam natomiast najzupełniejszą pewność, że wydawnictwo to będzie rzeczywiście uczciwe, umiejętne, wytrwa długo, bo to materyał niewyczerpany prawie.

W pierwszych zeszytach zamieszczone są: Karola Szajnochy: „Bolesław Chrobry" i odrodzenie się Polski, za „Władysława Łokietki". Bodanzowicza (K. Suffczyńskiego): „Zawsze oni". Konarskiego: „O religii uczciwych ludzi". „Dante": „Boska komedya". I tak pójdzie wydawnictwo dalej.

Kogo może nie stać na zakupno pojedyńczych dzieł, a chce zdobyć bibliotekę cenną, to ta odpowiada najzupełniej zadaniu Dwanaście zeszytów, razem sto dwadzieścia arkuszy druku, troskliwego wydania za rok, za cenę *4 zł. 60 ct.* na prowincyę wraz z przesyłką, to zasługa dla kraju i szerzenie oświaty, którym z serca przyklaskujemy.

Rozszerzenie tego wydawnictwa to zadanie patryotyczne. Dla czytelń w kraju, jest ta biblioteka obok „Mrówki" (wydawnictwa księgarni polskiej we Lwowie) najtańsza.

Zwracamy również uwagę przyjaciół wiedzy i oświaty na „Katalog“ tej księgarni, który na żądanie rozseła bezpłatnie. Jestto zestawienie dzieł i wydawnictw, które od 1839—1886 przeszły przez firmę J. K. Żupańskiego. Zawiera ten katalog wiele dzieł ważnych, a dziś już mało znanych.

Na zakończenie donosimy, że w księgarni krakowskiej, stoi obok p. K. J. Heumanna zacna wdowa po ś. p. J. K. Żupańskim, długoletnia tegoż towarzyszka pracy, i przejęta duchem takowej. Matrona ta pojmuje dobrze obowiązki księgarstwa polskiego, a tym samym duchem, przejęty jest i młody wspólnik p. K. J. Heumann.

To cośmy napisali o tej księgarni nie jest bynajmniej czczą reklamą, ale poglądem długoletnim i znajomością tej szanownej firmy, której osiedlenie się w Krakowie uważamy za odrodzenie się księgarstwa galicyjskiego.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Intermezzo redakcyjne.

W nr. 8. to jest ostatnim *Srażnicy polskiej*, zamieściliśmy artykuł pod tytułem: *Rozwodnienie poczucia godności narodowej*, dotyczący kordyalnych stosunków pewnych dziennikarzy lwowskich z Płoszczańskim, najemnikiem moskiewskim za ruble, którego można tylko stawić na równi z ostatniego rzędu zdrajcami własnego narodu Ruskiego, człowieka bez wstydu w oczach, czci i wiary. Wychowany pierwotnie na polskim chlebie, stoi on w nienawiści do Polaków, na równi z najwstrętniejszemi kreaturami posiepaków i szpiegów carskich. Nie znamy ani jednego uczciwego i prawego Rusina, któryby tej kreaturze podał rękę lub zasiadł z nim przy jednym stole. Niestety, nasi pewni dziennikarze nie wahają się żyć z tym człowiekiem brat za brat.

Tego nam już było za wiele, a więc postanowiliśmy przeciw tej ohydzie publicznie wystąpić.

Ci pewni dziennikarze połknęli jak zwykle z rezegnacyą godną lepszej sprawy, i w szlachetnem poczuciu, polecili obronę — swemu przyjacielowi, redatorowi „Słowa“, Benedyktowi Płoszczańskiemu, który się w nrze 35. „Słowa“ tak wywiązał z własnej i kolegów swych obrony:

„**Pan Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz,** (iły jak jeho złobno prozwał izwiestnyj polskij humoryst: *Jan Bałamucen z Obełgowa Gembosz*) użasno serdytsia w poślidnej swojej *Strażnicy* preżde wseho na poważnych redaktorow polskich gazet, prypysywaja im, po swojej bujnoj termynologii, *rozwodnienię mózgowe* za to, czto ony wmisti s redaktorom *Słowa* zasiły u odnoho stoła hostepriimnoho lwowskoho kupca, pryhłasywszoho, po słuczaju poświaszczenija i otkrytija bolszoho jeho magazyna, także perwostepennych predstawytełej horoda i kupeczestwa, podnosia wo wremia zakuski tosty roznoho roda, drużno wstriczały jeho jako predstawytela russkoj peczaty i jako towarysza po zwaniju. *Korona jednokowoż tych wszystkich objawów*, pyszet p. Gniewosz, był p. Benedykt Płoszczanskoj, sławnyj redaktor russkoho *Słowa*, lubeznyj druh Naumowycza, Myrosława Dobriańskoho, Apuchtina i *innych tego rodzaju korennych Sławian*, z kotorym *dziennikarze nasi się ściskali, trącali w kielichy* i pr., a były tože takii, kotoryi *pod rączkę spacerowali ostentacyjnie po głównych ulicach miasta z tym wielce szlachetnym i szanownym apostołem obrusienia Lachów i Galicyi*. Pan Jan Nepomucen zabył, czto w sobstwennom swojem interesi kupec ne dołżen diełaty rozłyczia meždu partiamy w kraji i czto u neho ne było połytyczeskoho obida, na kotoryj pryhłaszajutsia storonnyky odnoj mysły. No my ponymajem złobu p. Gniewosza: on ne udostoiłsia pryhłaszenija! Prypomynajem p. Gniewoszu, czto u neho było jeszcze bolszoje *rozwodnienie mózgowe*, bo on zachodył sam k redaktoru *Słowa*, i nehoduja na swojich patriotow, ne ponimajuszczych — po mniniju jeho — interes kraja, predłożył jemu, redaktoru *Słowa* swoji usłuhy, za kotoryji prynial hroszy, możet byty, rozminianyi moskowskiji rubli. Do sych por nykto iz druhych polskych redaktorow toho ne sdiłał. A zatim u koło bolszoje „rozwodnenije mozga?“

Żargon ten moskiewski znaczy po polsku:

„Pan Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz, (czyli jak go nazwał znany polski humorysta: Jan Bałamucen z Obełgowa Gembosz) strasznie się sierdzi w ostatniej swojej „Strażnicy“ przedewszystkiem na poważnych redaktorów polskich pism, przypisując im, według swej bujnej terminologii, „rozwodnienie mózgowe“ za to, iż oni razem z redaktorem *Słowa* zasiedli przy jednym stole gościnnego lwowskiego kupca, który z okazyi poświęcenia i otwarcia większego swego magazynu, zaprosił także pierwszorzędnych przedstawicieli grodu i handlu, i podnosząc podczas bankietu toasty różnego rodzaju, po przyjacielsku traktowali go jako przedstawiciela russkiej prasy i jako kolegę w zawodzie. „Koroną jednakowoż tych wszystkich objawów — pisze p. Gniewosz — był p. Benedykt Płoszczanskoj, sławnyj redaktor russkoho *Słowa*, lubeznyj druh Naumowicza, Mirosława Dobrjańskoho, Apuchtina i innych tego rodzaju korennych Sławian, z którym dziennikarze nasi się ściskali, trącali w kielichy i t. d., a byli także i tacy, którzy pod rączkę spacerowali ostentacyjnie po głównych ulicach miasta z tym wielce szlachetnym i szanownym apostołem „obrussienia“ Lachów i Galicyi.“ Pan Jan Nepomucen zapomniał, że we własnym swoim interesie kupiec nie powinien czynić różnicy między stronnictwami w kraju, i że u niego nie było politycznego obiadu, na który zaprasza się stronników jednej myśli. Ale my pojmujemy złość p. Gniewosza: on nie dostąpił zaszczytu zaprosin! Przypominamy p. Gniewoszowi, że u niego było jeszcze większe rozwodnienie mózgowe, gdyż przychodził sam do redaktora *Słowa*, i wygadując na swoich patryotów, nie pojmujących — zdaniem jego — interesów kraju, **ofiarował mu, redaktorowi *Słowa*, swe usługi, za które przyjął pieniądze, być może, rozmieniane moskiewskie ruble. Do tej pory nikt z innych polskich redaktorów tego nie uczynił.** A zatem u kogo większe rozwodnienie mózgu?“

Otóż przyznajemy, że redaktor *Strażnicy polskiej*, J. N. z Oleksowa Gniewosz, był dwa razy w redakcyi Słowa i brał z rąk Benedykta Płoszczańskiego za oddane temuż usługi pieniądze. Czy były „rozmieniane“ z rubli, tego objaśnić nie może.

Działo się to w r. 1876, gdy J. N. Gniewosz stał na czele przemysłowej spółki krajowej asfaltowania, lecz do rzędu dziennikarzy wtenczas jeszcze nie należał. Benedykt Płoszczański zgłosił się wtenczas do Spółki i umówił o położenie chodników asfaltowych na około kamienicy, przy końcu ulicy Cmentarnej, która była jego własnością. Spółka roboty te wykonała, a po odebranie należytości udał się Gniewosz do Benedykta Płoszczańskiego. Nic mu to nie przeszkadzało, że przez lat dziewięć wydawnictwa *Strażnicy polskiej*, piętnuje on „Słowo“, Płoszczańskiego i całe to plugawe plemię żyjące na żołdzie moskiewskim. Płoszczański był cicho nawet wtenczas, gdy Gniewosz na plecach głównego współpracownika „Słowa“, spróbował elastyczności nadwiślańskiej wiśniówki.

Płoszczański, pisząc tę kalumnię w „Słowie“, wyłonił tylko bizantyjsko-moskiewską szeroką naturę, gdyż takie praktyki są u moskalofilów galicyjskich obecnie na porządku dziennym, aby rozerwać zawiązu ące się węzły pomiędzy Polakami a Rusinami, rzucić żagiew niezgody, niewiary, podkopać wszelkie obopólnie zaufanie, oto ostateczny środek, jakiego się chwytają. Gdyby nie ta przyczyna, Płoszczański połykając ze smakiem pigułki, byłby i tę z ostatniego numeru „Sttażnicy“ strawił jak cukierek słodki, jako owoc swego męczeństwa za światu Rassyju.

Mamy przed sobą dwa cenne dokumenta, nadesłane nam przez redakcyę „Gazety polskiej“ w Czerniowcach, w sprawie fonetyki zaprowadzić się mającej w języku ruskim.

Otóż moskalofile galicyjscy, umieli tak sprytnie obałamucić pewne umysły, mające wydać orzeczenie w tej sprawie, iż ludzie, których o aspiracye moskiewskie w żaden sposób posądzać nie nie wolno i nie można, dały się wziąść na lep, i głosowały za etymologią ruską przeciw fonetyce. Jeden tylko członek komisyi, wielce szanowny profesor Partycki, wniół votum separatum za fonetyką. W Czerniowcach zajął takie same stanowisko profesor uniwersytetu Stocki, jeden z tych zacnych Rusinów, który słowem, pismem i czynem, dąży do zgody Polaków z Rusinami, jakkolwiek sam jest twardym Rusinem — ale tylko Rusinem. Sprawę fonetyki (o której będziemy jeszcze szerzej pisać) podniosła według poglądów prof. Stockiego, „Gazeta polska“ w Czerniowcach i cóż się dzieje. Odbiera wkrótce aż kilka listów bezimiennych lub fałszywemi nazwiskami podpisanych, denuncyujących profesora Stockiego, jako zakapturzonego moskala, wroga Polaków i Rusinów. Listy te rzucają podejrzenie jeszcze na kilku innych Rusinów znanych nam i redakcyi „Gazety polskiej“, jako ludzi wysoce uczciwych, a dowcdzących tej uczciwości nie od dziś w czynach.

Nie tracimy nadziei, że lada dzień odnajdziemy tych oszczerców, strzelających nikczemnie z po za płotów i napiętnujemy ich publicznie. Oto główna przyczyna, dla której teraz właśnie jurgieltnik moskiewski, Benedykt Płoszczański, posunął się do rzucenia kalumnii na redaktora *Strażnicy polskiej*.

Gdy zaś było widocznem, że Płoszczański wyłgać się może z pod kodeksu karnego w sądach, J. N. Giewosz postanowił sobie zrobić inną satysfakcyę, czego też dokonał dnia 26. kwietnia b. r. o godzinie wpół do czwartej po południu, którą wiadomość podał *Kuryer lwowski*, z wszelką dokładnością jak następuje:

„W krótkiej drodze zrobił sobie wczoraj satysfakcyę p. Jan Gniewosz, redaktor *Strażnicy polskiej*. Wyczytawszy w „Słowie“ kalumnię na siebie rzuconą, wyszukał p. Benedykta Płoszczańskiego, redaktora „Słowa“ i publicznie na ulicy Krakowskiej ogrzmocił go trzciną wśród niepospolitego zgromadzenia publiczności, która w obec tej operacyi zachowała postawę neutralną. Płoszczański postradawszy własną laskę i okulary skronił się do sklepu, i tym sposobem uszedł dalszych razów. Scena ta, zdarzyła się o godzinie pół do 4tej po południu. Epilog nastąpi zapewne w sądzie“.

Nader boleśnie dotkniętą została tym faktem redakcya, czyli przedsiębiorstwo przemysłowe, pod nazwą *Dziennika polskiego*, i napisało:

„Przykre zajście wydarzyło się wczoraj popołudniu na ulicy Krakowskiej. Pan J. N. O. G, czując się obrażonym przez pana B. P., obił go na ulicy kijem. Szczegóły dostaną się zapewne do wiadomości publicznej za pośrednictwem sprawozdań z Izby sądowej“.

Nikt się jednak tej delikatności nie dziwi, kto się codzień przypatruje po południu w kawiarni wiedeńskiej, jak współpracownicy, kronikarze *Dziennika polskiego*, z pp. Płoszczańskim, Kośnierskim, Dudą, zapijają czarną kawę, koniaczki, częstują się nawzajem papierosami russkimi i cygarami, gruchając przytem do uszka rozmaite sekreta i nowinki.

Gazeta Narodowa, prostuje telegram do *Neue Freie Presse*, tak:

Do *Nowej Pressy* telegrafuje cenny jej korespondent: „Wydawca tygodnika „Johann Ritter von Gniewosz“ napadł wczoraj popołudniu sędziwego już redaktora ruskiego pisma „Słowa“ i bił go tak długo pałką, aż tenże bez przytomności upadł“. Najpierw redaktor „Słowa“, p. Płoszczański, nie jest sędziwym starcem, przeciwnie — jest nawet znacznie młodszym od p. Gniewosza, a potem p. Gniewosz nie wykonał żadnego zamachu z politycznych motywów na p. P., ale z czysto osobistych, wywołanych obrazą doznaną w „Słowie“, a wreszcie p. Płoszczański nie upadł — ale uciekł. Z aktu więc zajścia zupełnie prywatnego nie potrzebnie usiłuje korespondent *Nowej Pressy* zrobić zajście politycznej natury, a p. Płoszczańskiego męczennikiem.“

* * *

„**Kuryer lwowski**“ z dnia 29. Kwietnia b. r. zamieszcza w kronice następujący artykuł:

„**Głosy prasy o — zamachu.** Co tam Schnaebele — co tam Gautsch! Bismark jakoś wytłumaczy Herbette'owi całą sprawę, i wszystko się jakoś ułoży. Ale Gniewosz i Płoszczański — ale czynne „nieporozumienie“ między „Aristowcami“, a nieskazitelnym stróżem „katechizmu narodowego“, walecznym bojownikiem przeciw „czarnej mafii, — „that is the question!“ Sprawa ta może zaważyć ciężko na szali wypadków, toż nie dziwcie się czytelnicy, że wam podajemy o niej głosy prasy, rzucające właściwe światło na ponury dramat, odegrany przed Stadtmüllerem.

Naprzód co napisał, a właściwie zatelegrafował przyjazny moskalofilom korespondent *Nowej Pressy*:

„Lwów, 26. kwietnia. Wydawca wychodzącego tutaj polskiego tygodnika „Johann Ritter von Gniewosz“, napadł wczoraj po południu na ulicy Krakowskiej sędziwego już (Płoszczański ma lat 53, Gniewosz przeszło 60) naczelnego redaktora ruskiego pisma „Słowo“, Benedykta Płoszczańskiego, i bił go tak długo pałką, aż tenże bez przytomności upadł. Musiano go odwieźć dorożką. Policya wkrótce potem skonstatowała fakt; polemika dziennikarska dała powód do tej skandalicznej sceny.“

Jeżeli zwrócimy uwagę na to, iż położono nacisk przy Gniewoszu, iż jest szlachcicem, i na „sędziwość“ Płoszczańskiego, tendencya jasno wypływa.

Teraz głosy prasy ruskiej, które przytaczamy w oryginale, raz dla zaznajomienia czytelników, jakim ję-

zykiem poszczególne gazety piszą, a powtóre, ponieważ niektóre zwroty nie dadzą się dobrze przetłumaczyć.

Oto srogi dla nas „Nowyj Prołom“ pisze:

„Merskoho napada na hładkoj dorozie dopustył sia wczerasznoho dnia p. Jan iz Oleksowa Gniewosz, redaktor „Strażnicy polskoj“ na redaktorie „Słowa“, h. B. M. Płoszczanskom. Kohda imenno h. Płoszanskij w 4. czasa po południ perechodył Krakowskoju ułyceju, napał jeho neczajanno iz zada*) Gniewosz i udarył nieskolkokratno pałkoju po hołowie. Napadennyj, 53-lietnyj czełowiek, żełaja izbihnuty publycznoho skandała, ili że poteriawszy prysutstwie ducha, (szczo w proczom każdyj pojmet, koły soobrazyt, szczo napad był nenadijannyj) skryłsia w torhowlu Sztarka i zdieś pał w obmorok (zemdlenie), a napastnyk spokojno i z triumfom pojszoł sobie dalsze dorohoju. Znakomci h. Płoszczanskoho, kotorym ne pryjszło na myśl zaderżaty Gniewosza i oddaty jeho w ruki policjantow, odwezły żertwu rozbojniczeskoho atentata w dom. Pryczynoju atentata posłużyło soobszczenije „Strażnicy“, szczo na zawtraku (śniadaniu) pry otkrytyi torhowli Krzysztofowicza, redaktory polskich gazet ciłowałyś (??) z h. Płoszczańskim, kotoromu pry tom Gniewosz nie pożalił nieskolko liubeznych epitetow. Na to pojawył sia w „Słowie“ otwit, szczo Gniewosz nie imiejet czoho złobytyś na Płoszczańskoho, tak jak poślidnyj mnohokratno podderżował jeho hroszmi, kohda łysz Gniewosz zajszoł w redakcju „Słowa“ i żałowałsia na swoju bidnost' i na preślidowania so storony lwowskich Times'ów. Siejczas po atentatie uwiedomłena była o tom policja, odnako tam zajawili, szczo policja majet łysz interwenjowaty, jesłyby napadajuczoho schwaczeno „in flagranti“; a poneże toho ne zdiełano, to ostajet sia tolko doroha w sud. Każet sia, szczo dla h. Płoszczanskoho małeje to budet udowłetworenije (zadośćuczynienie), dla nas że pouczytelnoje nastawłenje, szczo sehodnia na ułycach Lwowa ne można budet pokazowatyś bez rewolwera. „Kurjer Lwowski“ pochwalajet p. Gniewosza. (Gdzie? Kiedy? Przyp. Red.)

Metropolitalny „Mir“ taką zamieścił notatkę:

„Prykre wpeczatlinje (wrażenie) wykłykała meży wsimy pryjatelamy publycznoho poriadka ułyczna awantura, kotoroj dopustywsia wczera redaktor „Strażnicy polskoj“, p. Jan Gniewosz, na osobi h. B. Płoszczańskoho, redaktora „Słowa.“ W ślidstwie jakich to neporozuminij napaw imenno p. Jan Gniewosz nenadijno na spokijno Krakiwskoju ułyceju iszowszoho h. Płoszczańskoho i staw jemu w brutalnyj i inteligencyi jak najmensze włastywyj sposib nanosyty pałyceju tiażki oskorbłenja. (obrażenia). „Satysfakcja“ ta iz storony p. Gniewosza wykłykała, jak my uże skazały, w kružkach ruskich i polskich nemyłe wpeczatlinje, tak jak toho roda powedenje, dostojno łysz obywatela Irokeziw iły Botokudiw, a ne czełowika majuczoho pretensju do uprawłenja publycznoju opinjeju.“

Oto „głosy prasy“ o wielkim wypadku z ulicy Krakowskiej, jakie nas dotychczas doszły. Czekajmy, co dopiero z tego zrobią gazety rossyjskie, jakie wydedukują wnioski o ucisku ruskiej narodowości w Galicyi, a to wszystko było nic innego, jak zupełnie prywatne „oskorbłenje“, „nanoszone“ na plecy człowieka, który szedł z kawiarni wiedeńskiej do Breitmajera.“

* * *

„Słowo“ w Nrze 38. podając również „głosy prasy“ russkiej, zamieszcza następnie szereg telegramów kondolencyjnych, które tu w oryginale i tłumaczeniu podajemy:

„Po powodu opysannoho napadenja nadospieły wczera k nam iz Wieny slidujuszcziji telehramy:

1) Wyrażajem wam, nasz poczetnyj człen, Wenedykt Mychajłowycz, iskrennoje nasze soczuwstwije po powodu słuczywszejsia s wamy neprijatnosty s storony suszczestwa, ne zasłużywajuszczohó daże na nasze prezrinje. — Obszczestwo „Bukowyna.“

2) Nyzkaja, dykaja i zwirskaja wychodka, kojej wy pały żertwoju, osuždajet sebe sama, my że wyrażajem wam iskrennoje nasze soczuwstwije. — Redakcja „Nauki“.

3) S otwraszczenjem uznaw o zwierstwie, kotoraho wy pały żertwoj, my prosym was pryniaty nasze hłubokoje soczuwstwije. — Romana i Władymir Dudykiewyczy.

Nachodia w nezawydnom położenji bolszuju stradu dla sebe i swojej semja w objawłennom serdecznom soczuwstwji dorohych zemlakow, prynoszu im serdecznoje Spasy-bo! Stoit postradaty...

W. M. Płoszczanskij.“

W tłumaczeniu tak to wygląda:

„Z powodu opisanej napaści nadesłano nam wczoraj z Wiednia następujące telegramy:

1) Wyrażamy Panu, szanowny nasz członku, Benedykcie Michajłowiczu, najgorętsze nasze współczucie z powodu nieprzyjemności, która pana spotkała ze strony osobistości, nie zasługującej na naszą uwagę. Stowarzyszenie „Bukowina“.

(Bukowiny tej nie należy porównywać z stowarzyszeniem narodowców Rusinów i redakcyą „Bukowiny“, czasopisma ruskiego, wychodzącego w Czerniowcach, gdyż telegram ten pochodzi od znanego moskalofila Dudykiewicza, sztabowca Adolfa Dobrjańskiego, hofrata i znanego z awantury podczas jubileuszu Miklosicza).

2) Nikczemny, dziki i bestyalski wypadek, którego ofiarą padłeś pan, sam się osądza, my Panu zaś wyrażamy nasze gorące współczucie. Redakcya „Nauki.“

3) Dowiedziawszy się z oburzeniem o barbarzyństwie, którego pan zostałeś ofiarą, prosimy pana, abyś przyjął nasze współczucie. Romana i Włodzimierz Dudykiewicze.

Znajdując w tem nie do pozazdroszczenia położeniu niejaką pociechę dla siebie i swojej rodziny w wyrażonem mi serdecznem współczuciu drogich rodaków, wyrażam im serdeczne Bóg zapłać! — Trzeba przeboleć.

B. M. Płoszczański,

Jak widzimy z powyżej podanych telegramów, p. Płoszczański gotów się nareszcie doczekać męczeńskiej aureoli.

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz

*) Łże jak Moskal, bo atak był z przodu, z poprzedniem słownem objaśnieniem. (Red.)

KRONIKA.

Jeszcze o p. Gubrynowiczu, księgarzu lwowskim. Dnia 24. b. m. odbyło się Walne zebranie Stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda“, na którem ze słusznem oburzeniem przyjęto do wiadomości nieprzyjazne i nieobywatelskie postąpienie p. Gubrynowicza, dając temu czynowi odpowiedni wyraz.

Aby przekonać szersze koła społeczne, jak Stowarzyszenie „Gwiazda“ używa swych funduszów, podajemy ustęp z drukowanego sprawozdania za rok ubiegły tego Stowarzyszenia, a sprawozdanie to opiewa:

Z funduszu **inwalidów, wdów i sierot** skorzystało w r. 1886. pobierając stałe miesięczne wsparcie dwudziestu inwalidów, pięćdziesiąt wdów z 36 małoletniemi sierotami i trzy sieroty bez rodziców, na ręce swoich opiekunów.

Z inwalidów pobierali: dziesięciu po 84 zł. rocznie, a mianowicie: pp. Bojkowski Józef, Chechliński Jan, Cichy Wojciech, Czapowski Władysław, Drewniak Jan, Gawlikowski Alojzy, Krzyżanowski Stanisław, Pudełko Jan, Suchodolski Sabestyan, Widacki Tomasz: — pięcu po 42 zł.: Czekański Marcin, Kowalewski Bolesław, Krykiewicz Antoni, Pochorecki Feliks, Prycki Mikołaj; — Ładziński 56 zł.; — Nowosielski 35 zł. ś. p. Płocki Jósef 21 zł.; ś. p. Biliński 7 zł., ś. p. Horwath Paweł 3 zł. 50 ct.

Wdowy pobierające miesięczną zapomogę: dwadzieścia pięć po 42 zł. rocznie, a mianowicie pp: Bernacka Frańciszka, Dzierzanowska Marya, Jasińska Scholastyka, Hermamanowa Joanna, Kalicińska Barbara, Kordaszewska Natalia, Ligęzowa Zofia, Mrozowska, Nowicka Ewa, Pochorecka, Pasierbska Feliksa, Poczkowska Franciszka, Rudy Maryanna, Scholcowa, Schusterowa Franciszke, Skórska, Swidzińska, Sikula, Szukatkiewiczowa Marya, Sztych Józefa, Trojanowa Franciszka, Ulikowska, Wusykowa Filipina, Wysocka Marya, Zajkowska Katarzyna,; — Szmajkowska Paulina 42 zł. 70 ct., — pięć po 58 złr. 80 ct.: Burghardowa Franciszka, Górska Rozalia, Hoffmanowa Eleonora, Mrozińska Marya, Sławikowa,: — dwie po 50 zł. 40 ct. Bocheńska Walentyna i Styrska Wiktorya; — Czyżykowa Magdalena 75 zł. 60 ct.; dwie po 67 zł. 20 ct.: Knapowa Marya i Zielińska.; — cztery po 25 zł. 20 ct. Bałłabanowa Józefa, Bauerowa Paulina, Gładziszewska Rozalia, Zalewska Julia; — Płońska 53 zł. 90 ct.; — Narkowa 42 zł. 70 ct.; — Płocka Karolina 33 zł. 60 ct.; — Horwathowa 28 zł.; — Krud'owa 42 zł.; — Lustig'owa 17 zł. 50 ct.; — Krzupalowa 21 zł.; — Bilińska 10 zł. 50 ct.; — Strusińska 8 zł. 40 ct.; — ś. p. Iwanowiczowa 17 zł. 50 ct.

Sieroty: ś. p. Eglera 42 zł.; — ś. p. Dostala 42 zł.; — sierota ś. p. Dobrzanieckiego 8 zł. 40 ct.

Z funduszu **szpitalnego** wypłacono chorym członkom 384 zapomóg domowych po 5 zł. tygodniowo. W celu leczenia się na świeżem powietrzu otrzymało siedmiu członków zapomogę z góry po 20 zł., co czyni 140 zł.

Kosztem Stowarzyszeuia sprawiono w roku zeszłym 21 pogrzebów. a mianowicie jedenastu członkom czynnym, czterem inwalidom, pięciu żonom członków i jednej wdowie“.

Jeżeli więc ktoś przeciwko takiemu Stowarzyszeniu odzywa się i walczy, zaiste może to tylko być — p, Gubrynowicz, znany na szczęście dostatecznie księgarz lwowski, według którego poglądów nietylko „Gwiazda“, ale i Towarzystwo wspierające „Harmonię“ lwowską, i inne tego rodzaju stowarzyszenia powinny być zniesione. Przeciw „Harmonii“ występował znowu p. Gubrynowicz na zebraniu w kasynie miejskiem, które wskutek takich jak on i jemu równych politycznych przyjaciół, zatraca coraz więcej swój charakter i cel. W kasynie jako członek Wydziału, przywłaszczył sobie p. Gubrynowicz jeszcze charakter cenzora czasopism, o których on tylko głównie decyduje, czy mają być prenumerowane lub nie.

„Neue freie Presse“, „Czas“, „Przegląd“ lwowski i p. Masłowski, zaszczycają się jego szczególną opieką.

Pan Gubrynowicz, Köwesz i kilku ich politycznych przyjaciół, oto są główne powagi obecnie w kasynie miejskiem, które w zwykłym czasie po za koncertami i teatrem, jest coraz więcej pomijane i świeci zastraszającą pustką. Takie to a nie inne przyczyny spowodowały rozbicie kasyna i odłączenie się urzędników. Jeszcze chwileczkę, a kasyno miejskie pod komendą takich Brandmeistrów i powag zejdzie niżej zera.

Czy we Lwowie nie ma już rzeczywiście mieszczaństwa, któreby tym morfinowym wpływom położyło koniec — i wzięło w swoje ręce tak ważne ognisko ruchu społecznego?

Cenną pamiątkę po jenerale Józefie Bemie, posiada nasza redakcya. Jest to ośm sekcyj map strategicznych, obejmujących Galicyę zachodnią i część Korony, głównie w granicach, jakie były do r. 1819 w posiadaniu Austryi. Mapy te rysowane są z szczególną graficzną precyzyą w r. 1819. i podpisane własnoręcznie przez Bema. Są one do nabycia, ale tylko do jednego z naszych muzeów lub bibliotek.

Przegląd katolicki w Warszawie nie ustaje w trosce o los duszy Kraszewskiego; ze stanowiska tego pisma jest to rzecz bardzo właściwa, chociaż nieco więcej delikatności, dodałoby smaku tym zabiegom o niebo dla znakomitego zmarłego. Jest to tem pożądańsze, iż nastręcza się Przeglądowi Kalolickiemu dobra sposobność, pobożne bowiem to pismo ze swym „poważnym“ głosem powinno się zwrócić do duchownych, aby zamiast przesadnemi żądaniami i mnożeniem kosztów, utrudniać — zechcieli kontentowaniem się skromniejszemi opłatami ułatwiać modły za duszę nieboszczyka. W żadnym kraju pamięć świeckiego literata nie jest w ten sposób kościelny czczona co u nas; wszędzie obchody, prelekcye, wieczorynki, stypendya w świecki sposób dają znać o uczuciach czci i żalu, żywionych przez oświeconą i różnowierną ale zespoloną z sobą społeczność. U nas inaczej — lecz i z tem zgodzić się trzeba. Duchowieństwo przeto, które w tem udział bierze, powinno mocno dbać, aby bezinteresownością, uprzejmym współudziałem odpowiedziało sytuacyi. Tymczasem z wielu stron podnoszą się skargi, iż panowie duchowni nie okazali wyrozumiałości w obec skromnych gdzie niegdzie środków, jakiemi rozporządzali inicyatorowie nabożeństwa. W niektórych miajscowościach duchowieństwo nawet wyższe, odmówiło wprost urządzenia obchodu, ku niemałemu zgorszeniu swych parafian. Ażeby nie psuć uroczystego nastroju chwili, pomijaliśmy skargi z tego powodu milczeniem, a i teraz ograniczamy się na ogólnej wzmiance, gdyż może Przegląd Katolicki, który tak ostro wystąpił przeciw tańczącemu księdzu, zechce również nie poskąpić swego biczyska tym, którzy wyprawiają nieprzystojne targi i korzystając z prądu, chcą zasilać i tak już dobrze nabitą swą kieskę.

(Przegląd tygodniowy warszawski.)

Nabożeństwo żałobne w Zurychu za spokój duszy ś p. J. I. Kraszewskiego. Dnia 26. b. m. w kościele na Aussersihl w Zurychu, staraniem Muzeum Narodowego w Rapperswylu, odbyło się solenne nabożeństwo żałobne wobec 200 Polaków i Polek, Węgrów, Czechów, Bułgarów, Rumunów, Francuzów, Włochów i Szwajcarów. Kraszewski był członkiem Zarządu Muzealnego i wzbogacił ten Zakład narodowy znakomitemi darami.

Wejście główne do kościoła ozdobione było draperyą żałobną, katafalk zielenią i kwiatami, medaljonem nieboszczyka w większych rozmiarach i chorągwiami polskiemi. Młodzież polska przybyła z chorągwią niesioną przez majora wojsk polskich Trzcińskiego.

Nabożeństwo odbyło się ze skupieniem ducha i powagą, cechującemi społeczeństwo polskie, oddając hołd drogiej pamięci wielkiego patryoty i pisarza pełnego zasługi.

Biblioteki „Mrówki“ (nakład księgarni polskiej) wyszedł tom 252. i zawiera Maurycego Gostkowskiego „Banko“ i wiersze różne. Biblioteka „Mrówki“, która w 252 tomach podała publiczności polskiej wybór arcydzieł naszej literatury, po cenie nader niskiej. zasługuje na jaknajwiększe poparcie. tem więcej, że wdowa po śp. Bartosiewiczu, pomimo trudnych warnków, spełnia wytrwale tę missyę oświaty, dla jakiej „Mrówka“ jest przeznaczona.

Nowe „oskorbłenje“. „Słowo“ w wczorajszym numerze w artykuliku pod tytułem: „Gdie my żywiom?“ skarzy się na „oskorbłenje“ pp. M(onczałowskiego, redaktora „Strachopuda“ znanego z tego, iż dawał na mszę za Bismarka, gdy tenże przeprowadzał antipolskie ustawy) i P)ełecha, współpracownika „Słowa“) którym podług informacyi przez nas zasięgniętych, zdarzył się następujący wypadek: Onegdaj w nocy przyszli oni do kawiarni Dobrowolskiego i grając w bilard, głośno manifestowali swój moskwicyzm. Siedzący w sali podoficerowie i cywilni zaczęli z nich kpić, wskutek czego p. Monczałowski pogroził im kijem, na co podoficerowie wskazali, że mają szable przy boku. Obaj moskalofile wyszedłszy z kawiarni poszli ze skargą na odwach a oficer mający służbę, przysłał do kawiarni kaprala, który skonstatowawszy, że nic nie zaszło, odszedł spokojnie.

Podoficerowie udali się następnie do restauracyi Fedorowicza i tam w drzwiach spotkali swych przeciwników, którzy przyszli utopić w trunku zmartwienie. Rozpoczęła się na nowo sprzeczka, moskalofile ratowali się ucieczką, ale dopędzeni na ulicy Ormiańskiej ponieśli klęskę — „ponanosili“ im bowiem rękoma, nie szablami po twarzy bolesne „oskorbłenja“. Rozumie się że o zakończeniu sprawy „Słowo“ nie pisze. Rzeczą charakterystyczną jest, że między podoficerami był jeden Rusin, syn księdza. „Gdie my żywiom“?.

(Kurjer Lwowski).

Czy to prawda? Pytamy wyraźnie, czy to prawda?

Dopóki choruje pan Dobrowolski, z koleżeńskich względów nie piszemy o teatrze, bo nie zapominamy o tem, że dyrektor teatru jest w pierwszej linii redaktorem i jako taki ma prawo do naszego współczucia, choćby na podstawie samego przykazania natury.

Milczenie atoli nasze musielibyśmy przerwać, gdyby Walne zebranie miało istotnie być tak bliskie. Przypominamy sobie, że ostatnie było w Grudniu roku zeszłego, aleśmy o niem nie pisali, żeby dać wolny bieg wypadkom, jakie nadejść musiały.

Przyszłe Zebranie Walne miałoby więc do zastanowienia się nad *dwoma rzeczami*: 1) nad *sceną*, t. j. nad praktycznem prowadzeniem samego *artystycznego* przedsiębiorstwa, 2) nad *funduszami Spółki*, czyli nad istnieniem całego *finansowego* przedsiębiorstwa.

O pierwszej materyi pisano przed *dniem ś. Józefa* dostatecznie, aby dać całej publiczności wyobrażenie o tem, jak się teatru prowadzić *nie powinno;* więcej o tej mataryi pisać dziś nie wypada.

O drugiej atoli materyi pisać *będzie trzeba*, zwłaszcza że finanse Spółki teatralnej zależały dotąd prawie zupełnie i dziś jeszcze zależą od *p. M. Łyskowskiego.*

W Radzie Nadzorczej Teatru zasiadają panowie B. Potocki, dawniejszy firmowy Banku, dziś już na wyjściu z tegoż Banku — zasiada na nowo p. M. Łyskowski, który był i jest osią finansową w całej sprawie.

Wedle bilansu z Grudnia i własnego rachunku Spółki, *zjada ona fundusz żelazny* w ogromnych kawałach.

Wykażemy cyframi, że *jeżeli* gospodarstwo teatralne pójdzie tak jak dotąd idzie, to *za cztery lata* już funduszu rezerwowego wcale a wcale nie będzie, czyli że tam gdzie było niegdyś blizko sto tysięcy — będzie za cztery lata *dym i wiatr*, jak w Radłowie.

Cztery lata, to jeszcze wielki kawał czasu; ale i Spółka i Publiczność powinnyby się zastanowić nad tem, czy wolno, żeby Akcyonaryusze teatralni *zjadali* pieniądz publiczny — nie mogąc pokryć swych długów, na teatrze ciążących?

Wszystkie te kwestye musiałyby zajmować przyszłe Walne Zebranie — i dla tego sfer Dziennikowo teatralnych po powtórzeniu przez nas korespondencyi z Poznania do Warszawy uważamy za wróżbę bardzo niepomyślną, *Goniec Wielkop.*

Odtąd czysto niemieckie szkoły. — Z Nowego w Prusach Zach. donoszą, że i tam, podobnie, jak w Toruniu, zamieniono tamtejsze szkoły na szkoły czysto niemieckie — „fortan als deutsche Schulen“. To znaczy, że dzieci polskie w szkołach nowskich nie będą już pobierały nauki ani w czytaniu, ani pisaniu polskiem.

Zapewne ani na Toruniu, ani na Nowem się nie skończy, przeto Rodzice pamiętajcie o Elementarzu Poznańskim.

134 milionów żądać mają w Parlamencie niemieckim na cele wojskowe w roku bieżącym. Z tych 40 milionów na wykonanie tego, czego wymaga mnożenia wojska, a oprócz tego 87 milionów na cele uzbrojenia. Już teraz stoi w wydadkach niemieckich kwota 501 milionów; odtąd ma być 635 milionów — podczas gdy w r. przeszłym było dopiero *479*. Więc teraz o 145 milionów więcej, czyli o całą *trzecią część* dotychczasowych wydatków.

Zapiszemy to sobie. — Przypada na *polską* ludność część *czternasta* czyli *45* milionów, na głowę około 15 marek za każde dziecko w kolebce.

Nie ulega wątpliwości, że obecny Parlament uchwali to bez oporu, a my, kto ma, płacić będziemy. Liberalne pisma straszą, że to nie dosyć i że za rok będzie jeszczę więcej! *(Goniec Wielk.)*

Zaczyna się rozjaśniać.

Dopiero teraz zaczyna jaśniej występować posłannictwo p. Włodzimierza Spasowicza, adwokata petersburgskiego, z jakiem niedawno uznał za stósowne przybyć do Galicyi. Dzisiaj cel jego odczytów we Lwowie i Krakowie staje się wyraźniejszy. Znaną jest aż nadto dobrze polityka „Kraju“, do jakiej dąży pismo to zasobne w środki materyalne, rozszerzając się, gdzie tylko mowa polska jest zrozumiałą. Najmniej jednak uzyskał „Kraj“ obywatelstwa w Galicyi, a powód główny: że Galicya czyta stosunkowo najmniej.

P. Spasowicz jako człowiek wielce zamożny i ofiarny, postanowił założyć dla Galicyi nowe pismo, w rodzaju młodszego brata „Kraju“ i w ten sposó przeprowadzać swą missyę połączenia Polski z Moskwą w Galicyi.

Ile to jego posłannictwo słowiańskie, czczone przez różnych sub-apostołów zrobiło złego, o tem mówiliśmy już i będziemy jeszcze wiele mówić. P. Spasowicz uważając grunt za przygotowany pod siejbę, postanowił nie zwlekać. Nim jednak sam przyjechał, przysłał swoich wysłanników, a przyszłych współpracowników mającego się zrodzić niebawem pisma, którzy odczytami mieli sobie otworzyć drogę do różnych warstw społecznych. Jako pierwszy przybył do Lwowa z odczytem p. Zygmunt Słupski, były redaktor Gazety Radomskiej, a drugi Stanisław Przyborowski, który miał osiąść jako korespondent nowego organu we Lwowie.

Tak samo zorganizowane zostały siły w Krakowie, Poznaniu, Wiedniu itd.

Jakby na przekór tej missyi zbawienia, „Strażnica polska“ połamała szyki i projekta.

Jako dokumenta cenne, są przechowane telegramy z czasu, gdy się toczyła borba, ażali Spasowicz ma przyjechać z odczytami do Lwowa, lub nie. Z telegramów tych pachniała woń, którą — tej chwili nie chcemy nazwać po nazwisku. Aby jednak pachniała uczciwością i szlachetnością, tego trudno powiedzieć.

Tymi, którzy głównie torowali drogę p. Spasowiczowi w pochodzie na Lwów, byli: pp. Romanowicz Tadeusz i dr. Rutowski, prezes Koła literacko-artystycznego we Lwowie. Jeżeli mówimy o p. Romanowiczu, to nie należy w tym wypadku uważać go jako przedstawiciela „Nowej Reformy“, której redakcya nie miała nic wspólnego z tem apostolstwem.

Można sobie wyobrazić, jak się pozasępiały oblicza, gdy projekt wydawnictwa Spasowiczowskiego nie przyszedł do skutku. A wielka szkoda, bo jak wiadomo, p. S. ma zawsze dobrze wypakowany pugilares i dobrze płaci współpracowników.

Po Krakowie krąży pogłoska, jakoby p. Romanowicz miał zamiar znowu próbować szczęścia i ubiegać się o mandat do Rady państwa w Wiedniu, po rezygnacyi p. Mochnackiego Edmunda. Otóż nam się zdaje, że to tylko pobożne życzenia politycznych przyjaciół p. Tadeusza Romanowicza, który zdobywszy sobie tak poważne stanowisko w Krakowie, nie będzie się ubiegał o rzecz we Lwowie, którą powinien nareszcie uważać, *jako zaprzepaszczoną raz na zawsze.*

J. N. z O. G.

Teatr letni we Lwowie.

Sprawa teatru letniego we Lwowie, wobec przygrzewających wiosennych promieni słonecznych, oddziaływa wrażliwie na nerwy Lwowian. Dziwna rzecz — „warcholstwo“ lwowskie okrzyczano i osławiono, jakoby usiłowało rwać się nieustannie naprzód i nawet postęp czasu uprzedzać; tymczasem rozpatrzywszy się bliżej, to Lwów można uważać za ultra konserwatywne miasto i nie jako stolicę kraju, ale za jedno z *minorum gentium* starych miasteczek. Tak przynajmniej wygląda szermierka słowa, dotycząca stałego letniego przybytku Melpomeny.

Jeżeli ktośkolwiek chce się rozpatrzyć, że Lwów nie jest objęty ani wałami, ani murami fortecznymi i nie zmusza nas do ścieśniania się, gniecenia, ale natomiast posiada wszelkie warunki do dodatniego rozszerzania się na wszystkie strony w najprzyjaźniejszych warunkach zdrowotnych, — to zaiste — dziwnym a nawet śmiesznym wydaje się ten staromieszczański konserwatyzm, aby ani krok nie wychodzić po za dawne granice, gdy to Lwów opasany był murem, broniącym miasto od napadu Tatarów.

To niebezpieczeństwo przecież ustało; ale nie usunięto dotąd najazdów cholery, tyfusów plamistych dyfteryj, ospy i innych specyalności, które nasz Lwów bezustannie dziesiątkują. Niech nas więc nie korcą tych kilka placyków i ogrodów, jakie jeszcze w śródmieściu posiadamy, które od niedawna upiększają miasto i zbliżają je do siedzib europejskich, a nie do żydowskich targowic, lub na podobieństwo kurnych chat, w których człowiek i bydlę razem mieszkają.

Ktokolwiek zwiedził w ostatnich dwudziestu latach piękniejsze miasta Europy, ten się mógł przekonać, że tam nakładem nie kroci, ale miljonów robi się co można, aby zagęszczone i przeludnione ulice i części miasta przewietrzyć, uzdrowotnić, przez zakładanie nowych placów, skwerów i ogrodów. Targnięcie się na coś podobnego uważanoby za zbrodnię, za zabójstwo rozmyślne zdrowia ludzkiego. To też Tow. politechniczne, jako rzeczywiście uprawione do czuwania nad dobrem współobywateli, dobrze się zasłużyło stolicy kraju, zanosząc formalny protest przeciw uszczupleniu ogrodu miejskiego przy ulicy Kraszewskiego. Postawienie w tem miejscu jakiegokolwiek teatru wynikłoby tylko na niekorzyść, oznaczałoby jedynie zacofanie, pomimo wszelkiej estetyki architektonicznej, jakaby powstała.

Pozostawmy więc ten ogród w całości nietykalnej, pozostawmy tak samo w spokoju „rondel“ na szkarpach zamkowych, oczyśćmy plac Halicki z kilku dotąd stojących szatrów, a obejrzyjmy się gdzieindziej.

I tak: Przypominamy sobie projekt znakomitego naszego architekty p. Kamienobrodzkiego, a nawet nakreślony przez tegoż plan teatru, jakiby mógł stanąć przy końcu wałów wyższych, czyli od placu Gołuchowskiego, aż mniej więcej do pomnika Jabłonowskiego. Miejsca jest podostatkiem, a teatr na tem miejscu, otwarty ze wszystkich czterech stron, byłby po pokryciu Pełtwi, prawdziwą, odpowiednią ozdobą miasta.

Oprócz tej miejscowości, należałoby się zastanowić nad narożnikiem ulicy Mickiewicza i Zygmuntowskiej, równoległej z placem Gołuchowskich. Stoją tam dwa stare domy, nie przyczyniające się bynajmniej do ozdoby miasta. Jest ogród długi i szeroki, całość zaś przedstawia taką przestrzeń, że mógłby stanąć nawet większy teatr, aniżeli na potrzeby Lwowa, gdy tenże się jeszcze rozwinie. Teatr w tem miejscu mógłby być również otwartym z wszystkich czterech stron.

Mówimy tu głównie o teatrze stałym, bo nad letnim nie ma sobie ostatecznie co głowy łamać. Projekt w ogrodzie miejskim — to wprost absurdum; na to wystarczy każdy pierwszy lepszy ogród na przedmieściu. Latem przechadzka kilkaset kroków dalej, nie czyni nikomu różnicy. Zdaniem naszem byłoby odpowiedniem zbudować teatr letni tam, gdzie dotąd mniej ruchu i życia, jak n. p. na Zielonem, Rurach lub Stryjskiem. W ten sposób podnosi się obumarłe dzielnice miast.

Że arcyciekawych konceptów na rzekome upiększenie miasta nie brak, to rzecz już wielokrotnie dowiedziona. Z jakążto przyjemnością wchodzi się dziś na ulicę Akademicką, i należy się rzeczywiście podzięka Radzie miasta, że odstąpiła od wszelkich pokus usadowienia tam targowicy. A gdy się zrzuci naprzeciw kawiarni Schneidra stojące szatro i przedłuży skwer, to część ta miasta będzie jednem słowem piękną.

Ale właśnie ten kawałek ziemi, gdzie stoi szatro. korci jakiegoś niefortunnego projektowicza i hajże nawoływać, aby tam budowano szkołę, okoloną z trzech stron krzyżującemi się ulicami. Zaiste — w projekcie tym uwidocznia się jakiś objaw nowej epidemii, świadczącej o niezupełnie prawidłowem działaniu mózgu. Przekonani jesteśmy, że większość w Radzie, a nawet w sekcyach, nie dopuści tego wybryku na pełną Radę.

J. N. z O. G.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.